

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 13 IV. 1952 r.

Nr. 15 (349)

W NUMERZE:

S. SZMAGLEWSKA — Narodziny konfliktu J. PIERZCHAŁA — Przypadek...
L. MAJ — Jadą z Podhala M. BUCZEK — Wspomnienia walki
A. WITKOWSKA — Powieść o Wojnie Narodowej Z. MACUZANKA — Powieść „wielce z Ukrainy”
Z. SZPROKOFF — Wolna ziemia J. RURAWSKI — Dziś wierzbę szumić inaczej
A. WALICKI — Brajnia o Fiedinie S. POGAN — O tytuł dubożę
K. WOJCIECHOWSKI — Z dziejów czytelnictwa S. SIEKIERSKI — Kalendarz czy koncepcja?
G. TIMOFIEJEW — Gleb Uspiński T. SŁUPECKI — Korespondent



Foto WAF

„Trzeba porzucić ogólnikowe frazesy i gadaninę o rolnictwie w ogóle i przejść wreszcie do opracowania praktycznych posunięć, zmierzających do podniesienia gospodarki zbożowej odpowiednio do rozmaitych warunków różnych rejonów. Czas już przejść od słów do czynu i zająć się wreszcie konkretnym zagadnieniem, jak podnieść urodzajność i rozszerzyć obszar zasiewu indywidualnych gospodarstw biedoty i średniaków, jak ulepszyć i dalej rozwinąć kolchozy i sowchozy, jak zorganizować pomoc kolchozów i sowchozów dla chłopów w zakresie zaopatrywania w lepsze nasiona oraz zwierzęta gospodarskie lepszej rasy, jak zorganizować pomoc dla chłopów w zakresie maszyn i innych narzędzi za pośrednictwem ośrodków wypożyczania maszyn, jak rozszerzyć i usprawnić kontrakcje i w ogóle spółdzielczość rolniczą itd itp. (Głos: „To jest praktycyzm”). Taki praktycyzm jest dla nas absolutnie niezbędny, gdyż bez niego grozi nam utopienie niezmiernie poważnej sprawy rozwiązania problemu zbożowego w czczej gadaninie o rolnictwie w ogóle.”

STALIN
Przemówienie na Plenum KC WKP(b) 1928 r.
(Dzieła, Tom XI, str. 271-2)

LEŻY przede mną dokument takiej czczej gadaniny o rolnictwie. Czy warto się nad nim zastanowić? Warto. Jest w nim opisany przebieg przygotowań do wiosennych siewów w gminie Żmigród (pow. Milicz). Dokument ten stanowi coś w rodzaju sprawozdania a zarazem artykułu do gazety. Napisał go sekretarz GRN w Żmigrodzie.

Recenzja tego sprawozdania i artykułu przydać się może wielu innym Radom Gminnym i działaczom rolnym. Bo jak wynika z listów naszych korespondentów jeszcze skowronków nie słycać. Jeszcze zatem jest czas na praktyczną kontrolę i poprawę błędów. Jeszcze można dużo zrobić, aby siew tegoroczny wszędzie wydobyl nasze rolnictwo z nadmiernego opóźnienia się za tempem rozwoju przemysłu.

Pierwsza plenarna sesja GRN w Żmigrodzie, poświęcona wiosennemu siewowi odbyła się 25 stycznia, ostatnia 18 marca. Oddzielają je dwa miesiące czasu, ale łączą identyczne prawie uchwały. Na styczniowej sesji „GRN podjęła uchwałę, zobowiązując GS Korzeński do dostatecznego zaopatrzenia się w ziarno selekcyjne, nawozy sztuczne oraz do sprawnego rozprawienia... Na marcowej sesji „GRN powzięła uchwałę, zobowiązując GS do należytej ilości zaopatrzenia się w ziarno siewne, nawozy sztuczne i rozprawienie ziarna zaprawionego”.

Po dwóch miesiącach nadal brak ziarna selekcyjnego i nawozów. I po dwóch miesiącach trwa ta sama czcza uchwała-mania.

Sprawozdanie sekretarza GRN w Żmigrodzie, zawiera (z ołówkiem w rękę) 19 punktów, o tym co GRN robiła dla przygotowania siewów i o tym, co jej nie wyszło. Punkty te odpowiadają konsekwentnie sprawom, z jakimi ma do czynienia dzisiaj każda Gminna Rada.

Czegoż więc należało oczekiwać? I co obowiązywało sekretarza? Szczegółowe, konkretne rozwinięcie punktów, czego słusznie domagać się można od gospodarza gminy.

Nie otrzymaliśmy takiego sprawozdania. Czy dlatego, że sekretarz w Żmigrodzie nie jest literatem? Nie dlatego. W tysiącach listów chłopskich nie brak tej konkretności i zrozumienia zagadnień. Bo też listy chłopskie coraz silniej i powszechniej wyrażają ogromne niezadowolenie z masami chłopskimi za pośrednictwem niezliczonego mnóstwa organizacji masowych, wszelkiego rodzaju komisji sekcji, narad, zgromadzeń, delegatów itd., które otaczają Radę i podpierają ją swą pracą.

Pierwszym zaś — biurokratycznym — grzechem sprawozdania sekretarza ze Żmigrodka jest właśnie to, że nie wyraża ono tak nieodzownego dla Rady Narodowej zespolenia się z masami chłopskimi za pośrednictwem niezliczonego mnóstwa organizacji masowych, wszelkiego rodzaju komisji sekcji, narad, zgromadzeń, delegatów itd., które otaczają Radę i podpierają ją swą pracą.

Przed naszym oskarżeniem sekretarza ze Żmigrodka będzie próbował się oślonić punktem pierwszym swego sprawozdania, który dotyczy sesji plenarnej z 25 stycznia.

„Przy współudziale przedstawicieli ZSCh, ZMP, czynników społeczno-

politycznych, sółtysów i przodowników, po szerokim omówieniu i dyskusji, GRN podjęła uchwałę, zobowiązując aktywność gromadki do opracowania gromadzkich planów, dostarczonych przez Prezydium na uprawy roślinne i kontrakcje, biorąc pod uwagę możliwość i stan zagospodarowania rolników, zobowiązując jednocześnie GS do dostatecznego zaopatrzenia się w ziarno selekcyjne, nawozy sztuczne oraz do sprawnego rozprawienia, a Ośrodek Maszynowy do terminowego wykonania remontu maszyn rolniczych. Prace przygotowawcze poddano kontroli Gminnej Komisji Rolnej”.

Rzeczywiście — organizacje masowe, sółtysi, przodownicy, aktywność gromadki, GS, Ośrodek Maszynowy występują w sprawozdaniu. Wskazują, bo GRN miała obowiązek powołać te czynniki na siewną naradę. I miała oowowiązek mocno zespolić się za pośrednictwem działaczy tych organizacji i instytucji z chłopstwem swej gminy. A gdzie o tym mowa? Sekretarz „ustroił” sesję plenarną delegatami organizacji, kół, komisji i punkt 1 wyczerpał. Za pozwoleniem, narada szerokiego sztauru gminnego przed wiosenną bitwą nie warta ani jednego słowa? Coz nam sugeruje sekretarz? Ze albo nie ciekawo i ważne nie powiedziano podczas dyskusji albo, że on już nie pamięta?

Przyjmijmy, że nie pamięta, tym gorzej dla sekretarza i dla siewów. Bo na sesji na pewno mowiono rzeczy bardzo ważne a chciano powiedzieć jeszcze więcej. I tu wypadła nam się domyślać takiego prowadzenia obrad, które odgrodziło prezydium od delegatów z organizacji i gromad, które zdusiło głosy i utopiło planowanie oddolne w czczym rozkładaniu na gromady planów, jakie GRN skleiła na oko.

Bo cóż się okazało w toku kontrakcji rosin? Ze najtrudniej idą: len, ziemniaki i jęczmień. W skali gminnej (10 wsi) — 75 proc. planu. A w gromadach: Dębno, Laskowo, Garbce i Gątki o wiele gorzej. Czy tego zagrożenia nie można było przewidzieć? Jeszcze jak można było przewidzieć!

Gmina ma dużo ziemi V i VI klasy. W wymienionych wsiach gleba jest najlepsza. W ubiegłym roku posucha odbiła się najsilniej właśnie na lnie, ziemniakach i jęczmieniu. Z lmem mieli chłopci największe przeszkody. Mimo protokołów strat, rozszarpania zażądała od nich faktycznej dopłaty. Z wielu listów odczytujemy podobne wydarzenia. Ta kontrakcja zle się zapisała w ubiegłym roku w pamięci chłopskiej. Nowa uprawa, często nieznaną, nie została otoczona opieką, wyrozumiałością i zachęta.

GRN w Żmigrodzie wiedziała o kłopotach z lmem. Miała obowiązek wziąć w opiekę chłopów. Wystąpić do rozszarpania w oparciu o protokoły strat Ta sprawa, już jako załatwiona, powinna była stanąć na pierwszym miejscu siewnej. Jeśli była niezadowolona — tym bardziej. Bo ona sygnalizowała konieczność szczególnego troskliwego porozumienia się z chłopami z Dębna, Laskowa, Garbce i Gątki. I niech mnie kule biją, jeśli na sesji chłopci nie podnieśli trudności w uprawie lnu, ziemniaków i jęczmienia, jeśli nie wskazali na szczególnie położenie wymienionych wsi. Z jakimże to planem wystąpiło

PIOTR CHMURA

Czcza gadanina o akcji wiosennej w Żmigrodzie

(Na marginesie sprawozdania GRN)

Prezydium? Miało projekt przegrupowania w części tych kontrakcji na inne gromady? Przedstawiło plan wzmoczonej agitacji na gromadach, gdzie gleba najszabsza i gdzie n. e. urodzaj zniechęcił chłopów? Dało zapewnienie najważniejszej pomocy — ziarna selekcyjnego i nawozów — tym z Dębna, Laskowa itd.? Obliczyło próbnie wielkość tej pomocy? Obliczyło próbnie możliwości podjęcia w tych wsiach obszar kontrakcji? Skierowało mistrzów urodzaju do udzielenia pomocy, rad i opieki? Spiewamy sobie a muzom: Wystarczy bowiem wydobyc dwie informacje ze sprawozdania sekretarza, aby się przekonać, że na takie pytania Prezydium nie dało odpowiedzi ani sobie ani chłopom w gminie.

Jedną z nich mówi o wielu skargach i odwołaniach, jakie wnieśli chłopci. „W wielu wypadkach obniżono wysokość planów a rolnikom mogącym więcej wykonać — podwyższono”. W wielu wypadkach! To znaczy, że plan i przygotowania do planu były pod psem.

Druga informacja. Dopiero na ostatniej sesji (18 marca) GRN zdała sobie sprawę z potrzeby rozszerzenia i podniesienia bazy paszowej.

Jakiż więc przeprowadzono obrachunek ubiegłego roku, roku w którym obniżyła się hodowla? Żaden. I to w gminie, gdzie ziemia lcha a łąki zakwaszone. Konsekwencje? 18 marca stał GRN przed brakiem nawozów na łąki nie tylko w GS-ie, ale w samym planie zamówieniowym.

18 marca GRN nadal stoi przed brakiem ziarna selekcyjnego i nawozów dla rolników. Oto dwumiesięczna propaganda dla ubojwienia

lizująca... GRN. Niestety, czytamy wypowiedź samego sekretarza GRN, który bardziej od zacoфанego chłopca czeka na zmiłowanie Boże, on, gospodarz gminy.

Taka to czcza gadanina.

Sięgnijmy do listów chłopskich. W sąsiadującej z Żmigrodkiem — gminie Żmigród okazuje się, że po 1) chłopci podpisali umowy, obejmujące 100 procent planu kontrakcji buraka cukrowego, ziemniaków kromchmalnianych, konopi, lnu na włókno, jęczmienia browarnego i warzyw. Ponadto podpisano kontrakty na 90 proc. zaplanowanej ilości ziemniaków jadalnych i 105 proc. koniczyny”.

Po 2) „Doprowadzono do tego, że każdy rolnik może wymienić ziarno konsumpcyjne na doborowy materiał siewny”.

Po 3) „Kontrola GS wykazała pewien niedobór nawozów sztucznych w stosunku do zaplanowanych ilości. Podjęto więc natychmiast interwencję w PZGS (w Miliczu) i powierzone dopilnowanie sprawy jednemu z członków komisji rolnej”.

Wiadomości te uzyskał korespondent od sekretarza GRN Żmigród, chłopki-małorolnej, ob. Krawczyk. Sprawdził je u przewodniczącego komisji rolnej, Wójcika, który na jednohektarowym gospodarstwie osiągnął takie wyniki, że gromada, szukająca się do założenia spółdzielni produkcyjnej, obrała go swym przewodniczącym.

A oto, co czytamy w liście Nowaka: „Nawozy sztuczne już mamy

Sekretarz GRN w Żmigrodzie żali się na chłopów z Dębna, Laskowa, Garbce i Gątki — „należy stwierdzić, że brak należytego uświadomienia w powyższych gromadach, które każdorazowo okazują opieszałość”.

Jeśliby przyjął ocenę sekretarza, to co z niej wynika? W stosunku do tych, co „každorazowo okazują opieszałość”, należało od dawna podjąć

wzmoczoną akcję wychowawczo-polityczną. Od dawna cierpliwie i szelroko przekonywać chłopów. Od dawna czuwać nad wyrośnięciem na tych wsiach aktywu. GRN wyciągnęła inny wniosek? Takie to już są te gromady? Czyli, że dłuższofalowej pracy tam nie prowadzono. Ale w kontrakcji roślinnej oczekiwano cudu. Kiedy nie nastąpił — „należy stwierdzić brak należytego uświadomienia”. U kogo? Sekretarz wskazuje na chłopów z Dębna, Laskowa itd. A my na Kol. Sekretarza.

Bo przecież ci chłopci „narzekają na złą glebę, kilkakrotnie sieli te uprawy (len, ziemniaki, jęczmień), które w ogóle nie urodziły”. Rozszarpani musieli dopłacić, mimo protokołów strat.

I ci sami chłopci zabrali się do zagospodarowania odłogów. Stworzyli w Laskowie, Gątkach, Rodziądzu, Garbcech zespoły uprawowe.

Sekretarz w Żmigrodzie nie zna swych gromad. Nie rozumie, co to znaczy, że ci sami chłopci na najgorzej glebie, utrapieni nieurodzajem, rozszarpani obszar uprawy likwidując odłogi. Nie rozumie, co to znaczy, że zorganizowali zespoły uprawowe.

Czy w tym przejawia się „opieszałość”? Stala, powtarzająca się opieszałość? Ależ taka permanentna opieszałość oznaczałaby zastój. A zastój to cofanie się.

Czy cofaniem się w rolnictwie nazwiemy stworzenie zespołów uprawowych? Czy „brakiem należytego uświadomienia” a więc rozluźnieniem spójni z klasą robotniczą i gubieniem perspektyw socjalistycznego rozwoju? Oczywiście, że nie. Oczywiście, że nie.

Wszystcy w całej gromadzie, braliśmy na skrypty dłużnie i za gotówkę... (Worszewo, pow. Szczecin)

W liście Wagnera (Stebłów, pow. Koźle) — „Ozimin na jęczmień dostatecznie zasiano, gdyż dostarczyło nam Państwo dobrego ziarna i w porę nawozów sztucznych, podobnie i teraz jesteśmy już zabezpieczeni...”

W liście Pindy (Chrząstów, pow. Koniecpol) — „Ziarno siewne spółdzielni ma, kto chce wymienia...”



Foto E. Goławski

chłopów, których czeka wiosenna bitwa, największa z tych, jakie dotąd stoczyli. „Na tym odcinku — pisze sekretarz — rolnicy najwięcej narzekają, co również może ujemnie wpłynąć na wydajność z ha, gdyż ziemia w gminie Żmigród w większości V i VI klasy”.

Przepraszam, czyją to czytamy wypowiedź? Indywidualnego chłopca? Zaraz byśmy ją skierowali do GRN-u. Cenna, ostrzegająca i mobi-

lizerująca... GRN. Niestety, czytamy wypowiedź samego sekretarza GRN, który bardziej od zacoфанego chłopca czeka na zmiłowanie Boże, on, gospodarz gminy.

Taka to czcza gadanina.

Sięgnijmy do listów chłopskich.

W sąsiadującej z Żmigrodkiem — gminie Żmigród okazuje się, że po 1) chłopci podpisali umowy, obejmujące 100 procent planu kontrakcji buraka cukrowego, ziemniaków kromchmalnianych, konopi, lnu na włókno, jęczmienia browarnego i warzyw. Ponadto podpisano kontrakty na 90 proc. zaplanowanej ilości ziemniaków jadalnych i 105 proc. koniczyny”.

Po 2) „Doprowadzono do tego, że każdy rolnik może wymienić ziarno konsumpcyjne na doborowy materiał siewny”.

Po 3) „Kontrola GS wykazała pewien niedobór nawozów sztucznych w stosunku do zaplanowanych ilości. Podjęto więc natychmiast interwencję w PZGS (w Miliczu) i powierzone dopilnowanie sprawy jednemu z członków komisji rolnej”.

Wiadomości te uzyskał korespondent od sekretarza GRN Żmigród, chłopki-małorolnej, ob. Krawczyk. Sprawdził je u przewodniczącego komisji rolnej, Wójcika, który na jednohektarowym gospodarstwie osiągnął takie wyniki, że gromada, szukająca się do założenia spółdzielni produkcyjnej, obrała go swym przewodniczącym.

A oto, co czytamy w liście Nowaka: „Nawozy sztuczne już mamy

STANISŁAW PIĘTAK

W ROCZNICĘ WRZEŚNIA

A twarz najdroższa, schylona w łęku i boleści,
młodziutkie życie przecięte śmiercią w jednej chwili,
widok dziecka w słońcu, który tyle szczęścia mieści,
że oczy wzruszone patrzeć już nie mają siły...

A książka, której dzieje wielbią bohatera —
i którą czytając, tak Kochamy świat i ludzi,
że złudzenie jak krwią oddech w piersi nam zapiera
i myśl o jutrze, o niespełnieniu prac się budzi...

A ta słodyczy pełna, późnego lata pora,
gdy przywiązanie do kraju, do ziemi, aż dusi.
A nagle wspomnienie tego, co się działo wczoraj...
Pchani kulbami, szliśmy i na piękno świata głusi.

ROBOTNICZY

Już przestwór bład, podobny do stali.
Teżali drogi od parnego tchu.
Murarze, którzy domy stawiali,
na łące cienistej szukali snu.

A tymczasem słońce już zagasło.
Ślaniała się dal od głosów, od ech.
Mrok na polach rósł błękitną warstwą,
śpiących, strudzonych pierwszą gwiazdą strzegł.

I parowała rozgrzana ziemia.
Szczębiot przepiórek wciąż niosło od zbóż.
Cieśle już stali przy kamieniach,
porywał ich jak pęd przyszłości wóz...

Oto byli na rodzinnym progu,
oczy szukały twarzy dzieci, żon...
Ktoś rzekł o grożącej wojnie, o wrogu.
Narzędzia zbliżali do rąk jak broń.

Z nowych wierszy

Z PIEŚNIĄ

Szarzało na wschodzie niebo,
Księżyc już schodził na łąkę —
I w szeleście żyło drzewo.
Ktoś szedł, śpiewał swą rozłąkę.

Więc, że za małą godzinę
Mila bieć będzie do zniwa.
Więc że zgłębiał swoją winę,
ta pieśń taka żałośliwa...

Oparłem się o framugę,
wspominałem dawne lata,
Nie widziałem, że nad strugiem
śpiewał z Miłą znów się bratał.

A gdy potem słońce błysło,
na kosiarce stępa jechał.
Patrzył śmiało na dal czystą
i do wspomnień się uśmiechał.

Rosły snopki, męde, kopy.
Kłosa opadał i w twarz kurzył.
Leciały jak na okopy.
Kłonie spłoszone wśród burzy.

Deszczem obici, wracali
ludzie, troskę w oczach nieśli.
Para wiała z pół jak z fali.
Nie słycać było już pieśni.

Smutno, chmurno, lecz wieczorem
gwar i śmiech znowu wychynał.
Ktoś z harmonią pod jaworem
Jużył marzeniom i czynom.

wicie, że wprost przeciwnie. A sekretarz ze Żmigrodki i nie rozumiał tego i nie docenił, że za likwidację odłogów wzięli się chłopci, rozgoryczeni nieurodzajem i „niezadowoleni” z kontrakcji, która im parokrotnie nie wychodziła.

Gdzie tu tkwi sedno sprawy? Czy ci chłopci — jeśli opieszali — nie chcą ziarna selekcyjnego, nie chcą nawozów, nie chcą siewu rzędowego, nie chcą fachowej instrukcji i opieki dla podniesienia wydajności lnu,



Foto - J. K. Maciejewski

ziemniaków i jęczmienia? Śmiechów warte. Jasne, że oni się tego wszystkiego domagali, że targ w targ i lnu i jęczmienia i ziemniaków gotowi się nie wyrzekać, byle ich umocnić w wyższej kulturze uprawy.

Cała więc sprawa wraca do gospodarza gminy, do GRN. Tam wszystkie statystyki i wykazy rolne, tam wszystkie odpisy podatkowe, kredytowe itd. gromadzą się nie po to tylko, aby pojąć wyżej ale, żeby przy ich pomocy przejść wreszcie do opracowania praktycznych posunięć, zmierzających do podniesienia produkcji odpowiednio do warunków różnych wsi i stron w gminie.

Zespołową uprawę odłogów podjęły te gromady, w których len się nie urodził. Nie pierwszy już raz.

Pytamy gdzie troska Gminnej Rady? Gdzie sposoby uprawowe? A są, wiele ich jest. Kto szuka ten znajdzie. We wsi Żabno (pow. Tarnobrzeg) podobnie było z uprawą lnu, jak w Dębnie, Laskowie, Garbce i Gątkach. Słaba gleba, brak rąk do pracy. Powstały dwie grupy kontraktatorów. Jedna indywidualnych (po 100 cm²) na 2 ha, druga — zespołowa koła gromadzkich ZSCh (też na 2 ha). System pracy? Jedni dali ziemię, drudzy robocizną konną, trzeci pielęgnację roślin itd... Kierownik grupy zapisywał ilość i jakość wniesionej pracy. Plan zespołu okazał się bez porównania większy od indywidualnej uprawy. Dlaczego? Plantator indywidualny nie dopilnował jakiegoś okresu wegetacji rośliny i nie zawsze wiedział jak zabezpieczyć odpowiednie warunki.

A zespół naradził się, planował z etapu na etap i do najtrudniejszych zabiegów kierował na całą plantację najlepszych rolników. Na rok 52 cała gromada postanowiła do wszystkich kontrakcji przystąpić zespołowo.

Oto pierwsze praktyczne posunięcie, jakim GRN w Żmigrodzie powinna była wesprzeć Dębno, Laskowo, Garbce, i Gątki. Sekretarz mógł tam pojąć z gazetą w rękę. Z przykładem przekonywającym, bo wypraktykowanym. Nie posiadał. A sółtysi wrócili bez nadziei na nawozy i ziarno selekcyjne, natomiast z planem „uciupinę” powiększonej kontrakcji. Przynieśli również wiadomości, że ziarno i nawozy, jakie były, posły na spółdzielnię produkcyjną w Żmigrodzie i Korzeńsku. Sekretarz informuje, że PRN oświadczyła, iż ta „pula musi wystarczyć na gminę i że na razie nie wiadomo, czy nowe nawozy będą dostarczone”. Wobec czego sekretarz rozkłada ręce — „niech się dzieje wola nieba”. I znów nie rozumie rzeczy zasadniczej. Słusznie, że spółdzielnia produkcyjna otrzymała ziarno selekcyjne i nawozy. Ale czy należało na tym poprzestać? I w ten sposób dać wrogowi klasowemu okazję do nowego kłamstwa, które na tym przykładzie spółdzielni produkcyjnej przeciwstawi wsi indywidualnych gospodarzy?

I to właśnie w roku, w którym chłop widzieć już może w spółdzielni nie tylko wyższą i pomyślniejszą dla spółdzielców gospodarke, ale w samym zespole swojego przyjaciela. Tak, przyjaciela, który idzie już do gromad z pomocą na coraz większą skalę. Czytał list K. Łazowkiego ze spółdzielni produkcyjnej w Broniszewie (pow. Szczecin):

(Dokończenie na str. 7-ej)

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

NARODZINY KONFLIKTU

MARYNA Tocewiczowa skończyła właśnie karmienie malenstwa, gdy ktoś zadzwonił. Biegając do drzwi, zapinała bluzkę.

— Czy to ty, Tomku? Zamiast oczekiwanego męża w progu stał ich współlokator, Aleksander Danielak.

— Pan Tomasz jeszcze nie wrócił? — Tomek teraz poza swoją pracą świata nie widzi. Najgorsze myśli przychodzą mi do głowy, kiedy czekam na niego godzinami.

Weszli do pokoju. Maryna zjrzała do malego, Aleksander sięgnął po papierosa.

— Zie myślisz? Ależ pani nie ma powodu. Pan Tomasz, to równy chłop. Dla niego istnieją dwie rzeczy: praca i dom.

— Czasem chciałabym go trochę pozłocić, oderwać od pracy — powiedziała śmiejąc się.

— Nie trzeba. Nie wolno. Proszę mi wierzyć.

Psiak, drzemający dotąd w kącie, podniósł się, podszedł do drzwi wejściowych, przyłożył nos do szpary i głośno wciągnął powietrze. Maryna poszła za psem.

— Co to, Zulik, pan idzie?

Wszedł Tomasz, uściśniętą dłoń kolegi, potem zerknął na malego, który już spał; kropelka mleka osiadła w kącie zaróżowionych ust dziecka, po dwóch stronach głowy spoczywały małe piąstki.

— Świeć, że pan jest — powiedział Tomasz. — Pokaż pan te magazyny dla Przemysłu Włókienniczego.

Danielak rozwinął arkusz kalki, rozłożył go na stole, wyglądził. Wyciągnął z kieszeni ołówek, sprawdził ostrze, potem poprawił jakąś linię.

— Zawracam panu głowę — bo to mój pierwszy projekt kalkowiec samodzielny. A to duża kobyła, jak pan widzi. Ale nie chciałabym strzelić głupstwa, we dwie głowy można lepiej ocenić.

— A ma pan już ostateczną koncepcję?

— Jak dotąd, moja koncepcja pokrywa się całkowicie z żądaniem zleceniodawcy. Wpadłem na taki prosty pomysł: ustawiam rzędem długie hangary, ustawiam tyle miejsca, żeby pomiędzy każdymi dwoma budynkami szedł tor kolejowy.

Mówiąc, Aleksander szkicował szybko, trafnymi pociągnięciami ołówka.

— Tędy będą przychodzić wagony z towarami, tędy też będą odchodzić. To jasne, co?

— Tak. To jasne.

— Właśnie. A teraz dalej. Piętro, to jakby drugi rząd hangarów, tylko że tym razem ustawiam je w porządku na pierwszym rzędzie.

— Zaczyna mi się to bardzo podobać — zawolał Tomasz.

— Możebyśmy razem projektowali? — zaproponował Danielak. — Niech pan o tym pomyśli.

Dołem poidą pociągi, jako pozioma komunikacja. Prócz tego będzie komunikacja pionowa. Tu, w miejscach zekniczenia, przebiegać będą windy, wożące ludzi i towar. Każdy z dolnych hangarów ma 42 mtr. szerokości i 120 długości.

— Bagatelka — mruknął z uznaniem Tocewicz.

— Ależ to budowa olbrzymia — zachwyciła się młoda kobieta i oczy jej zabłysły, jakby tym błyskiem chciała doradzić mężowi współpracę z Danielakiem. Zanim zdążyła znaleźć słowa, Tomasz odezwał się pierwszy:

— Daj nam coś zjeść, Marylko, inżynier pewno tak samo głodny jak ja.

— Słuchala dalszej rozmowy z kuchni. — Siadajcie, bo wystygnie!

Ciszę mieszkania rozdziera nagle ostry dzwonek przy drzwiach. Danielak wybiegł do przedpokoju i po chwili Tocewiczowie usłyszeli, że zechcą kogoś do zdjęcia płaszczka.

— Ja tylko na chwilę, progam pana. Przechodziłem i wstąpiłem na minutkę. Ciekawy jestem jak pan, progam pana te magazyny projektuje. Nie będę przeszkadzał, ja tylko na sekundkę.

— To Karp — zdziwił się Tomasz. — Ale co on tu chce?

— Później zjemy — szepnął Tomasz wypychając żonę z tącą za drzwi. Sam zapałał oburącz łóżeczko dziecka i co prędzej wysunął je za żonę.

— Co ty robisz najlepszego? — zawołała szeptem Maryna — dziecka się wsiadysz?

— To inżynier Karp, mój szef. On pali strasznie dużo, dziecku zaszkodzi.

W drzwiach ukazał się, sunąc na palcach i zginając kolana przy każdym kroku, zażywny mężczyzna, starannie ogolony i ostrzyżony, z krawatem związanym w tak zwaną „muszkę” na obfitym podgardlu. Idąc tak usiłował niepostrzeżenie obciągnąć kilkoma ruchami dwurzędową marynarkę, chroniącą, dzięki dobremu krojowi, bezkwalifikację brzuch. Zapewne z przyczyny tego brucha trzymał się niezupełnie prosto, wypinając siedzenie do tyłu.

— To jest wielki obiekt progam pana — powiedział pocierając głowę. Nie można tak raz-dwa zaprojektować, a potem przyjdzie kolegium w Warszawie i co? Kłapał Kłapa może być, progam pana.

— Może być albo nie być, teraz się pracuje szybko, a przecież wyniki są dobre — wtrąciła Maryna od drzwi, ale nie skończyła jeszcze wymawiać tych kilku słów, kiedy spotkała karzące i zarazem pełne łęku spojrzenie męża. Dawał jej znaki, żeby nie pozwalała sobie więcej na podobne uwagi. Pan Karp uśmiechnął się tylko wyniośle, wznosił wysoko brwi, potem kontynuował:

— Takie projekty w Warszawie, progam pana, wykonują stare byki, z wieloletnią praktyką. Młodemu, jak pan — ja bardzo przepraszam, nie ujmuję panu zdolności, ale praktyki, progam pana, długiej praktyki pan nie ma — otóż młodemu jak pan projektantowi dają w Warszawie co najwyżej prace pomocnicze. Taki młody jeszcze się uczy od swoich starszych kolegów, od inż. Pniewskiego, Lacherta, Knothe...

W Nowym Jorku, progam pana, widziałem takie magazyny, kiedy przed wojną jeździłem tam z żoną na dwa miesiące. Trzeba koniecznie narysować jeden wariant w nawiązaniu do nowojorskich magazynów, ale z uwzględnieniem tutejszych, łódzkich elewacji. A w Rzymie? Czy pan był w Rzymie, progam pana? Nie? No, widzi pan. A tam trzeba być, żeby coś móc na ten temat powiedzieć. Albo egipskie magazyny bawelny.

Strzelił palcami, przybrał wąpiący wyraz twarzy, potem zapalił papierosa. Danielak patrzył na rozłożony szkic projektu. Tomasz zajął się papierosem, tylko Maryna jarzącymi oczyma wpatrywała się w inżyniera Karpia.

— Więc panowie tak razem projektują, co? — zapytał, wskazując rysunki. Ton jego tym razem był współczujący — co mogło być tak samo poczytane za ironię.

— Dotąd pracowałem sam — powiedział Danielak — sam robiłem szkic koncepcyjny. Ale właśnie przed chwilą zaproponowałem współpracę koleźce Tocewiczowi.

— No, dobrze, dobrze. W późniejszej fazie, kiedy będzie potrzebna pomoc techniczna, kolega Tocewicz może się nawet bardzo przydać. Nie przeczę. Ale z ludzi doświadczonych kogoż ma pan do spółki, progam pana?

Danielak spuścił głowę, czując rumieniec nabiegający do twarzy i bąknął:

— Ja... na razie... bez nikogo więcej — za tydzień składam projekt szkicowy na kolegium, opracujemy zbiorowo ewentualne poprawki.

— Ach, tak? Nic o tym nie wiedziałem. Projekt ten dostał pan z naszego wydziału planowania przed objęciem przeze mnie kierownictwa pracowni. To było przeczenie, że dano panu rzecz ponad siły, ale nie zostawiamy pana kolegi samego. Dyrekcja prosiła mnie właśnie dziś, żeby, progam pana, otoczyć ten ważny projekt opieką. Bardzo chętnie to zrobię. Takie magazyny, jak już mówiłem, znam na pamięć. Pomogę panu. Jestem nawet gotów zrobić więcej.

Zatrząsnął się, rozchylił kurtkę, kciuki wsunął za brzoży kamizelki.

— Mogę nawet pomóc panu, progam pana, w ten sposób, że przystąpię razem z panem do wykonania pro-

jektu. Zrobił pan jeden wariant — to mało. Dwa, nawet trzy trzeba im dać. Niech placą — rozeźmiął się — niech wiedzą za co zapłacili. Proszę o arkusz kalki Ołówek!

— No, mniej więcej tak, progam pana, musiałaby wyglądać pańska koncepcja w ujęciu perspektywicznym — sapnął odsuwając krzesło i cofając się cztery kroki, bez odrywania wzroku od rysunku.

Tocewiczowie i Danielak stanęli za jego plecami przypatrując się rysunkowi magazynów, ukazanych od strony frontu, z ulicy. Nie brakowało nawet szeregu okazałych drzew, rosnących obok magazynów. Patrzyli milcząc. Niskie jakieś, niepokazne, wydawały się w tym szkicu magazyny, o których wiedzieli, że będą wyjątkowo duże. Nagle Maryna postąpiła naprzód, oczy jej zajaśniały złościwą wesołością.

— Jeżeli pan inżynier pozwoli spytać — zaczęła niewinnie, cichym głosikiem.

— A, bardzo proszę, bardzo proszę, progam pani — szarmancko zrobił jej miejsce inżynier Karp, oczekując pochwał.

— Czy te drzewa to jakieś wyjątkowe? Zagraniczne może?

— Nieee. Zwykle topole albo kasztany. Bo co?

— Wydały mi się nieproporcjonalnie duże w zestawieniu z magazynami.

Oczywiście jastrzębia ugodził młodą kobietę inżynier Karp, lecz napotkał spojrzenie silne, nieugięte, jarzące się iskierkami humoru. Natychmiast rozpylnił się w uśmiechu i uprzejmościach:

— Przeczenie. Ależ pani ma intuicję, no-no, to zdumiewające. Zdumiewające. Tak... to trzeba przestudiować.

Usiadł znowu i obydwie dłonie położył po bokach rysunku. Chwilę patrzył na rząd efektywnych drzew, przerastających kilkakrotnie magazyny, potem rzucił krótko:

— Gumka!

Szcerał, dmuchał, otrząpywał.

— Ołówek! — rozkazał w końcu. Danielak biegł, podawał, usługiwał, mieniąc się na twarzy i unikał wzroku Tocewiczów.

— Zapalki.

Maryna widziała, jak szczupła dłoń Danielaka dygotała podczas podawania ognia.

— Taak — oznajmił w końcu inżynier, przeclijając się na krześle do tyłu i wypuszczając przed siebie kłęby dymu. W tej osłonie dymnej odezwał się drżący głos Danielaka:

— Przypominam, że kolegium jest za tydzień, może więc pan inżynier w ciągu najbliższego tygodnia machnie ten drugi wariantek?

— Co? W ciągu tygodnia? No, mój panie, po co pan się ośmiesz? Słaby był, poznał, że jest pan młody... i niedoświadczony.

Miałem na myśli szkic odręczny — w ołówku — skala, powiedzmy, jeden do dwustu — bąknął Danielak i nagle z głębokim przekonaniem w tonie głosu zawołał:

— Panie inżynierze, ja sam, chociaż gdzie mi tam do pana, robiłem pierwszy wariant sześć dni. Ani godziny dłużej!

— Co pan powie? — zdziwionym dyszyntem zapytał Karp, a tyle było drwiny w jego tonie, że Maryna zacisnęła palce na dłoni męża — co pan powie? Ani godziny dłużej? No, to ja powinienem iść na praktykę do pana — drwił dalej, wybaluszając oczy zwięzonym chichotem. — Bo ja tak nie umiem — rozłożył ręce — melody szybkościowe są dobre, ale nie w pracy twórczej, progam pana. Ja muszę sprawę przemysleć. Muszę ją następnie przestudiować. Gdy zjawę się szczęśliwy pomysłem, nie od razu też mogę wcielić go w życie. Natychmiast tak samo potrzebne jest architektowi, jak poecie, jak rzeźbiarzowi.

— Natychmiast — zastanowił się Danielak — ładnie, by wyglądały moje terminy ustalone z inwestorem, gdybym czekał na natchnienie! Ja wierzę w „sitzfleisch”.

Inżynier Karp uniósł wysoko brwi, jakby nie rozumiał lub nie chciał okazać, że rozumie.

— W co pan wierzy?

— W „sitzfleisch” — powtórzył Danielak — to lepsze niż natchnienie. Niezły, naturalnie dla kreślarzy i wszelkiej pomocy technicznej. Nigdy dla samodzielnego projektanta!

Wstał, wetknął kciuki za brzoży kamizelki, przeszedł się po pokoju.

— Co w takim razie będzie na kolegium? — zmartwił się Danielak.

— Nic! O to może być pan spokojny. Proszę jutro rano pójść do szefa produkcji i oświadczyć mu, że przesuwamy termin kolegium ze względu na jeszcze jeden... albo lepiej ze względu na dwa nowe warianty szkicu koncepcyjnego.

— Dwa?!

— Jeden albo dwa. Wszystko jedno.

— Panie inżynierze, proszę wziąć pod uwagę: jeszcze nigdy nie chybiłem terminu; jakże mogę odwołać kolegium!

— Trzeba dostosowywać terminy do siebie, a nie na odwrót, progam pana.

Maryna widziała, że Danielak opuścił ręce, jakby nagle stały się nad miarę ciężkie.

— No, więc już idę — poderwał się Karp obejrawszy raz jeszcze swój rysunek.



Rys. E. Bączkowska

Kiedy mój szkic będzie skończony, zaczniemy się z panem rozstrzygać, go pan starannie w setce; słyszałem, chwalałono pana zaocznie, że umie pan to znakomicie. Przy tej okazji recepta na „sitzfleisch” na pewno się panu przyda — zachichotał.

Kiedy inżynier Karp wyszedł, brakowało pięciu minut do północy. Maryna wymiosła pośpieszenie stos niedopalków i otworzyła okno w zadymionym pokoju. Potem westchnęła głęboko i spojrzała na mężczyznę ze śmiechem.

— Ten się udał! Progam panów.

— Nic nie mogę poradzić — wzruszył Danielak ramionami — to nasz kierownik pracowni.

— On ma łeb na karku, potrafi duże pieniądze wyciągnąć od inwestora, bez niego połowę był pan za robotę — głośno myślał Tomasz.

— Po co on tu przylazł — zastanawiał się Danielak.

— Jak to „po co”? — zawołała Maryna, doprowadzając mieszkanie do porządku — żeby się wpechnąć do projektu. Chce go wykonać sam. Wyłącznie sam.

— Może, może — zamyślił się Tocewicz.

— Myli się pani — powiedział stanowczo Danielak — interesowanie się projektami należy do jego obowiązków, jako kierownika pracowni. Przecież nawet wspominał, że mu dyrekcja nakazała. Prawdę mówiąc, jestem z tego zadowolony. Lubię pracę zespołową, a to jest stary, dobry fachowiec.

— Tak, pan jest zadowolony? — zapytała Maryna, ciągnąc do pokoju łóżeczko z uspiętym Wojtusiem — zobaczy pan: zanim Wojtus nauczy się samodzielnie chodzić, on pana dobrze urządził, ten pan Karp!

— Skądże takie przypuszczenie? — wzruszył ramionami Tocewicz.

— Mój nos mi to mówi — roześmiała się Maryna.

Seweryna Szmaglewska

Fragment powieści

JAN PIERZCHAŁA

PRZYPADEK, KTÓRY MÓGL ZAPOCZĄTKOWAĆ...*)

POD nogami czuł miękkie, rozeżdżone bagno. W wybojach — wody po kostki. Zaczął skakać dużymi krokami na osłep. Chciał się wyrwać na twardszy grunt. Zobaczył wreszcie wieś. Za krzaków wychylił się blisko światła okien.

Z trudem rozpoznał plot przy drodze, pchnął furtkę. Na podwórku zadzwonił łańcuch, potem odezwał się gwałtowne psie ujadanie. W oknie ktoś przywarł twarzą do szyby.

— A sio. Do budy! — wrzasnął z ganku ostry głos. — Kto tam?

Mazur postąpił śmiało naprzód, macając stopami nierówny grunt, po-falowany dółkami cienia. Przez wąskie szyby ganku zobaczył kościstego mężczyznę o dużej głowie, okrągłą, starszą już kobietę i dziewczynę, która przekreśliła klucz w drzwiach i śmiało weszła na schody.

— Zapytaj się kto — szepnęła dy-chawicznie kobieta.

Młoda, zobaczywszy Mazura, cofnęła się, składając ręce na piersiach, jakby chciała się przed czymś bronić.

Wszedł na schody przemoczony, błady, z kropkami deszczu na policzkach. Rozstąpili się przed nim. Patrzyli niechętnie.

Otrząpał buty na betonie. Rzekł prosto, bez wstępu.

— Gdzie by tu można konia dostać?

— Konia?

— Nawalilo nam niedaleko auto. A może jest tu jaki warsztat? — mówił szybko, jakby chciał wyprzedzić wzbierającą w nich niechęć.

— Co to za wieś? — spytał. — Widział, że unikają jego wzroku, że nie mają czystych spojrzeń, może boją się nawet. Tylko ta młoda wyrwała się do przodu z rumianymi policzkami, ze światłkami życzliwości w oczach.

— Zórąwin — powiedziała przyjaźnie — tu jest Zórąwin.

Uśmiechnął się stępała od zimna twarzą. — Konia nie można by pozyczyć?

Zwrócił się teraz do niej. Dziewczyna spojrzała na suchy profil gospodarza i zmarszczyła smutnie czoło. Zrozumiał. U tych ludzi nie ma co szukać pomocy. Zauważył, że jest bosa, wypłowiały sweter nie dopina się na niej. Kiedy znowu rozchyliła trochę zbyt szerokie war-



Rys. E. Bączkowska

Przybiegła wreszcie zadyszana, w chustce na głowie, w nieswoich butach z cholewami. — Gdzie pan idzie? — zaśmiała się krótko. — W bok trzeba. Najlepiej do państwowego majątku. Koń się znajdzie.

Ciepły, dziewczęcy oddech owionął Mazura.

Nachyliła się do niego. Szukała jego oczu zagubionych pod obwisłym kapeluszem. Była w niej obawa i jeszcze coś bardzo nieuchwytnego. Kazała mu zawrócić! Szedł za nią drobny, ostrożnym krokiem. Prowadziła go krajem drogi.

Po chwili zagadnął ją niewyraźnym pytaniem o ojca...

— To nie ojciec — odpowiedziała zimno. — Taki Szatanek, wychowałam się tylko u nich.

Mazur nie pytał o nic więcej. Zapomniał na chwilę o dziewczynie, o deszczu, o kleistej wilgoci pod palcami nóg, natarczywe myśli o jutrzejszym dniu wypełniły mu głowę.

Musi być na południe w Komitecie Powiatowym w Gościeminię.

— Wszystko jedno, zreperuje się wóz, albo i nie. Na nogach, a musi tam dojść.

Lubił wyjazdy w teren, ta robota pociągająca się samochód, nie było by na co narzekać. Nie ma na razie wyjscia. Wszyscysmy jeszcze biedni. Partia też. Kiedyś się przecież zmieni.

Dziewczyna prowadziła go troskliwie w prawo, w lewo, i sobie tylko wiadomym sposobem rozpoznawała w ciemnościach kałuże i doły nie zasypane jeszcze od wojny.

Weszli na brukowany kawałek drogi. Zrównali się. Mazur po namyśle odezwał się nieśmiało.

— Jak koleżance na imię?

— E, co tam — odparła szorstko — nie ma się o co pytać.

Mazur zamilkł, nie spodziewając się ani chłodnego tonu, ani tak szybkich słów. Szli obok siebie zasluchani w wicheru, w dalekie szczekanie psa.

Nagle ona poprawiła chustkę na głowie, powiedziała wyraźnie — Genowefa mi na imię.

Posłyszał w sercu smutek. Żał mu się zrobiło dziewczyny.

— Ładne imię — powiedział, bo nic innego nie przyszło mu na myśl.

— Takie sobie. Nic ładnego — odparła, jakby zagniewana na siebie. — Proszę tu zaczekać. Zaraz przyjdę — i odeszła w prawo pomiędzy zabudowania.

Wróciła po paru minutach. Szedł za nią krey, skulony w ramionach młodzieniec. Mruknął coś w stronę Mazura i poszedł przodem.

— Andrzej — tłumaczyła mu dziewczyna — konia trzeba. Auto się zepsuło, wiesz?

Niespełna w godzinę później Fiat był już w garażu. Przyciągnął go. Sowy koń stał osowiały na deszczu. Podrzucił łbem chomąto spadające mu z karku na uszy.

pomyślał z urazą do Mazura i milcząc zabrał się do roboty.

W nocy rozpozogdziło się. Gwałdy wypełzły w wymyle, granatowe niebo, ale widział je tylko Madaja, który do świtu prześlęczał nad zepsutym motorem. Dopiero nad ranem zdrzemnął się na tylnym siedzeniu, przykryty płaszczem z nogami skulonymi pod brodą.

Rano znowu chmury zawisły nad ziemią. Wiatr suszył pola, przęginal odrywające po zimie galezie...

Andrzej spał tej nocy z Mazurem na jednym łóżku. W cieplej izbie.

Genowefa od piętej jak co dzień krzątała się po oborze państwowego majątku. Pamiętała wyraźnie zarys twarzy Mazura, jakby wyciosany z kamienia: dwie wyraźne brzozy, ciągnące się od nosa do kątek warg. Nie widziała dokładnie jego oczu, ust, tylko te niepokojące brzozy od nosa łukami w dół.

Rozdzieliła paszę po żłobach, wyrzucała gnój spod krów. Dojarki — stara Wronowa z córką pokrzykiwały do niej z drugiego końca obory. Nie odpowiadała im. Narzucała szybko świeżej słomy między krowy i zanurzyła ręce w beczce z wodą pod wodociągami.

Późnym świtem, kiedy przygasy już światła w oborze, przyszedł zarządca Strutyński. Dojarki i Genowefa spojrzaly po sobie zdziwione. Nigdy go tu nie widywały, wcześniej jak o dziewiątej nie wychodził zresztą z domu.

Dziś przyszedł naburmuszony. Zatrzymał się przy drzwiach.

— Chodźno — krzyknął na Genowefę.

Poszła za nim szybciej, niżby to zrobiła kiedykolwiek. Przeskoczyła kałuże przed progiem, podeszła do zarządcy.

— Czemu nie dajesz kieszonki krowom?

— Bo nie daje...

— Pytam się dlaczego?

— Bo nie... Co ja mam takie świętstwo bydlu rzucać. Gorzkie wszystko, zgnić. Kto to widział taką gospodarkę. Zie zrobiona kieszonka.

— Wszystko jedno dawać.

— Nie dam — krzyknęła Genowefa — ja odpowiadam za bydlę, nie pan.

Strutyński otworzył szeroko rozedrgane jak kulki rtęci oczko, syknął

półtowartymi ustami, jakby mówił — ty suko — zaczął krzyzcć. Genowefa nie ustępowała mu.

Zwabiony kłótnią brygadzysta Szkopek stanął nagle przed nimi, jakby wyskoczył z ziemi. Uciszył nakazująco zarządcę, z uwagą zaczął słuchać zdenerwowanej dziewczyny.

Zarządca pientł się ze złości, podrzucił głową jak młody koń.

Szkopek odwrócił się do niego plecami, zmrużył porozumiewawczo oczy do Genowefy, przytakując każde-mu jej słowu siwą głową na cienkim, starczym karku.



Rys. E. Bączkowska

Kłótnia i krzyki zwabiły ludzi ze stajni, z wozowni. Podchodzili zewsząd grupkami, gapili się z daleka.

LUDWIK MAJ

J A D A Z P O D H A L A...

GMINA Bystra, leżąca w powiecie myślenickim na Podhalu, nie różni się wiele od innych gmin na Podhalu. I tu „traktor władzy ludowej” głęboko worał się w 6 wiosek naszej gminy, niszcząc bezpowrotnie dawną nędzę.

Jak to u nas się odbyło i jak się wciążył przemienia — chcę Wam opowiedzieć.

Na co cierpiał Podhale i nasza gmina? Na straszliwe przeludnienie. I to takie przeludnienie, dla którego trzeba było dwóch rozwiązań. Jedno — odpływ do pracy w przemyśle, drugie — przesiedlenie wielu chłopów - górali na inne ziemie.



Foto WAF

Bo policzyć:

Mieszkańców przeszło 10 000, wyłącznie ludność wiejska, ogólny obszar gminy wynosi 13 194 ha, z tego pod pługiem 5 338. — Zatem jeden człowiek wypada na hektar, a na hektar ornego prawie dwóch. Nie koniec na tym. Na około 2 000 gospodarstw 190 powyżej 10 ha użytków rolnych. Cóż więc pozostaje dla 90 procent gospodarstw? A dodajmy, że grunty orne są podzielone na przeszło 50 000 pól i poletek parowatych, na przeszło 50 000 zachwaszczonych miedz — i taką samą ilość bruzd. Przeciwnie gospodarstwo rolne składa się z 26 kawałków, a są i takie, co mają 80, rozrzuconych w szachownicę, po zboczach i groniach w odległości nieraz do 6 km. Te liczby same mówią, a raczej wołają doniosłym głosem o — zmianę i to trzeciego również rodzaju zmianę — o spółdzielnię produkcyjną.

Do r. 1945 ludność zamknęła w ten system gospodarczej nędzy — nie miała żadnej perspektywy na zmianę. Bo nie szło o tych kilkunastu bogaczy czy dorobkiewiczów, takich jak z Osielca — Guzyk; z Bystrzej — Główna, Bednarz, Fajfer, Kojas; z Sidziny — Maj, Powałacz, Kulka Jan; z Toporzyska — Bednarczyk i inni pomniejsi „szczęśliwcy”. Wyrwali się od dawna ludzka we „świat za chlebem” do Niemiec, do Łotwy, do Ameryki, ale żadnemu nie przyswieciło słońce szczęścia, może nie posiadali tego „sprytu życiowego”, który konieczny jest w ustroju kapitalistycznym, umieli tylko pracować i dać się wyzyskiwać. Toteż wioski przepelnione, w chałupach po trzy rodziny na kupie, zerały się procesami o miedzę i skibę pola kamienistego. Epilogiem tych kłótni bywała doszczętna ruina gospodarstwa zwaśnionych i napelnionych kieszeniami adwokatów, którzy nowe kamienie stawiali w Jordanowie.

Aby wydobyc się z tego kłębowa krzywdy i biedy ludzie pracowali worywali się, jak krety w zbocza lasów, wycinając drzewo, ogolając wierzchy, karczunkiem mozołnym otwierali sobie nowe parowate poletki kamieniste.

Do r. 1945 gmina Bystra była nieprzebrana „kopalnią najtańszych sił najemnych (do każdej roboty)”. Ale zaledwie mała ilość młodzieży (bo ona tylko przedstawiała przedmiot przetargu) mogła osiągnąć tej „laski pracy”.

Zdawałoby się, że w nowej Polsce chłopci z naszej gminy, jak potok spłyną w doliny na Ziemię Odzyskaną, aby objąć nowe, zasobne gospodarstwa.

Tymczasem w 1945 r. pojechała tylko garstka, około 30 rodzin. Dopiero ci śmielsi „zdobywcy” lepszych warunkach życiowych ścigali innych tak, że do roku 1949 odpłynęło około 100 rodzin, co jednak nie rozwiązało jeszcze sprawy przeludnienia w całości.

Dlaczego ten nurt osiedleńczy na nową ziemię, na gospodarkę rolną okazał się na początku tak mały i tak słaby? Działaniem płotki głównych przyczyn nie wyjaśnimy. Płotka hulala wszędzie, a chłopci szli przeciw milionami. Ponad moje też siły rzecz tę tłumaczyć. Ale według moich obserwacji i rozumienia — dwie tu widzę przyczyny. Pierwsza — u nas specyficzny jest typ gospodarki rolnej. Hodowla rozwinięta, ale w oparciu o góry i hale. Nasz chłop był się nizin. Gospodarka roślinna, jak wiecie, o wiele węższa od nizinnej. Owiesek i jęczmień. Też lęk. A po-

reszcie wielki całe (w tradycji), a lata międzywojenne w szczególności, odebrały naszemu chłopu marzenie o ziemi, gdzie indziej. Wędrówki do innych krajów też miały w ostatecznym obrachunku powrócić chłopca w rodzinne strony. Co się uataro — to oczekiwanie na odpływ zbędnych rąk w kraj, ale do prac pozarolniczych.

Druga przyczyna, to nasze tradycje. Nasze i nie nasze, bo wszelka robota wychowawcza Witkiewiczów, Orkanów, Stojalowskich i Witosów zrobiła tutaj wiele. Zrobiła to, że wzmocniła fałszywy patriotyzm regionalny, że kazała kurczowo trzymać się jałowych stoków gór tym, co chcieli uchodzić za górali - rolników, nie mówiąc już o gazdach. Toteż odpływ po wojnie zaczął się u nas silnie poprzez młodzież. Większym prądem odpłynęła młodsza generacja do szkół zawodowych i wyższych i do przemysłu.

Młodzież ta, budując swoimi rękoma Plan 3-letni, później 6-letni, budując socjalistyczny przemysł twarde wrastała w nowy światopogląd, w nową treść pracy zespolowej — ona też zaczęła pierwszą targać zacięcie i wrogą propagandę na podstawie konkretnych dowodów — lepszych warunków życiowych. Przyjeżdżali młodzi do wiosek rodzinnych, opowiadali o wielkich budowlach, o solidarnym wysiłku klasy robotniczej. Ich przyjazdy każdorazowo odrwały z zasiedzenia niezdecydowanych, a ci ostatni po zyciu się z nowym środowiskiem znów ciągnęli innych.

Toteż Nowa Huta — budowie krakowskie, Chorzów, Katowice — Gdynia — Tychy są budowane również rękami chłopskiej młodzieży z gminy Bystra.

Pasternaki, Czarni, Smętki, Kostki, Płaśnie, Ujczaki, Rysie i setki takich kształtuje nowy kierunek wsi i nie jeden jest przodownikiem budownictwa. Oni to wnieśli do naszych wsi

szerszą dyskusję — narady. Słowo „socjalizm” zaczęło być powtarzane z twardą powagą. Ten przemysł, to już jest — Socjalizm. Ale i u nas na wsi tak, jak jest, nie może długo pozostać. Jedni już chcą iść, inni jeszcze się namyślają i wahają,



Foto WAF

inni znów na zimno obliczają, czy można w warunkach o takim przeludnieniu budować zdrową spółdzielczość? Ich obliczenia stwierdzają, że jeszcze co najmniej jedna trzecia rodzin jest zbędna rezerwą, którą należy upłynnić — gdzie? Na Ziemię Odzyskaną, do PGR, do przemysłu. I znówu dyskusje.

— Swoimi rękoma wydarłem z lasu ziemię, targalem piaki, każdą grudkę ziemi przeniósłem z doliny na zbocze. Gdzieżbym te góry i lasy opuścił...

A wróg też dyskutował — poco tam jechać, wojna już jutro, domów tam nie ma, a nie masz krowy ani

konia, to ci sąsiad bogatszy pomoże, a tam bez krowy i konia kapej (umiera).

Śmielsi wskazywali na tych, co pojechali w 45, 46 — 47 r. i pisują do rodziny. Gdy wyjeżdżali też ich straszono wojną, a dziś już są zagospodarowani, przysyłają do rodzin mąkę, cukier, podarunki...

Na rozdyktowane chłopstwo spadła jak objawienie, uchwała rządu o osadnictwie i pomocy dla nowych osadników. Zebrania gromadzkie, sąsiedzkie, rodzinne narady przeniosły ochwałę rządu do każdej chałupy. Wróg przycichł, zagłuszyło go obudzone na nowo u małorolnych pragnienie — *jechać!* Ale jak się do tego zabrać? Kto poda pomocną rękę chłopom, walczącym z targającymi ich duszę sprzecznościami?

Rolę tego pomocnika i przewodnika przejął aktyw PZPR-owski i ZSL-owski.

Tu muszę wspomnieć o rzeczy ważnej. Żywa i szeroka była u nas tradycja ruchu ludowego. Ale podporządkowany on był „Piastowi” Witosza. Na pulapkę tę złożyło się między innymi to, że u nas na Podhalu wciąż nierozwiązane były przed wojną sprawy serwitutowe, lasów i hał. Czyli walka jeszcze z pozostałościami feudalizmu. Dlatego to bogate gazdy, idąc do kapitalizmu, mogli nieraz pozorować prawo do przywództwa i hałasować witosowskimi hasłami.

Dlatego po tej wojnie partia nie przegodziła zakorzenić się na naszych wioskach. A ruch ludowy ulegał powolnemu przekształceniu; demaskowali się dawni działacze, ale trwało to długo, a jeszcze dłużej nim wyrosły nowe kadry, osmielonej bioty idącej za przewodem Partii.

Ale rok 1951 stał się rokiem przełomu dla gminy Bystra. Dotarło do nas hasło „Frontu narodowego” i było szeroko omawiane.

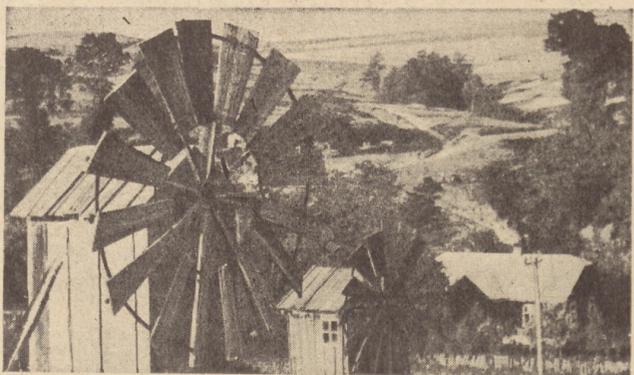


Foto J. K. Maciejewski

Wnioski, do których doszła większość członków partii i ZSL-u zdecydowały. Walczymy o te same cele — klasa robotnicza prowadzi i pomaga. Mocniej się teraz zwrzemy — swoje szeregi oczyścimy i w konkretnej pracy osiągniemy lepsze wyniki!

Oczyszczono szeregi partyjne i ZSL. Precz poszły pijusy, nieroby i krzywdziciele pracującego chłopstwa — Kopry Maciaszki, Budki, Budy i inni, co gromady nasze powitają z uznaniem. Bez balastu szeregi zwyrły się mocniej, lecz wróg nie zrezygnował. Autorytet Partii i ZSL-u wzrósł wśród bezpartyjnego chłopstwa. Na ten cios wróg odpowiedział nową próbą. Bogacze i spekulanci zaczęli przy pomocy intryg rozbijać współpracę; jednych na drugich aktywistów po cichu podszechuwały pochlebstwami i wódką — chcieli poszczególnych członków Partii i ZSL zaagnać do swoich interesów. Nie udało się spekulantom sprawa. Takie Gąsior, Kulki, Fajfry, Pasternaki i inni nie potrafili wbić klina niezgody między PZPR i ZSL. Decydujące zwycięstwo odniosła ta współpraca właśnie w 1951 r. Szeroko przeprowadzono Siew Pokoju, Narodowy Plebiscyt,

Subskrypcję Pożyczki Narodowej, kontraktację trzody chlewnej i wiele innych, których nie puszczono na żywioł, lecz na wspólnych zebraniach przedyskutowane, rozpracowane, oddane zostały członkom do wykonania. Widać było na wioskach członków Partii i ZSL, jak razem chodzili od domu do domu uświadamiając bezpartyjnych chłopów. W trakcie tych prac, wyrosli z cienia nowi ludzie, na których można było oprzeć jesienią planowy skup zboża. Tacy jak Zareba Władysław, Szewczyk Władysław, Bartyl Edward, Cieśl Stanisław, Kryjak Józef, Maciaszek Józef, Gwiazdoń Henryk, Syc Czesław, Ufir i wielu innych, okrzepili w wirze prac i dyskusji, ubojawili się, świadomość polityczną wzrosła w kadrach i u chłopów na wsiach. KG Partii i GKW ZSL wypracowały nowy styl pracy, opartej na pracy członków i współpracy z bezpartyjnym chłopstwem. Dzięki kierownictwu Partii z zwykłych chłopów wyrósłi ludzie, którzy pozbyli się nieśmiałości i potrafili ciężką walkę o planowy skup zboża w terminie przeprowadzić. A walka była ciężka. Bogaci chłopci, mający od lat „mir” na wsi, próbowali wstrzymać chłopów od spełnienia patriotycznego obowiązku. Ale aktyw PZPR i ZSL porwał za sobą aktyw ZSCh i ZMP, podzielił gromady na rejon, wyznaczył opiekunów i agitatorów. Chłopi widząc, że te akcje prowadzi tacy sami chłopcy z ich wiosek, organizowali grupowe odstawy zboża. W tej walce o „chleb”, opartej już na masach szeregi partyjne i zeselsowskie do reszty się oczyściły z dotąd zamaskowanych „przyjaciół”. Członkowie ZSL z trąskiem wyrzucili ze swoich szeregów Rączkę Józefa, zast. przewodniczącego Prez. GRN oraz Pasternaka Władysława, prezesa GS za nierobstwo i dwulicowość. Te oni krzywym okiem patrzyli na cementowanie się przyjaźni PZPR i ZSL.

W trakcie tej walki Prezydium GRN wyzwoliło się od nierobów i pijaków. Gu. Rada Nar. zdjęła ze stanowiska przew. prez. GRN, Papaja Ignacego za robotę, rozbijając planowy skup zboża. W miejsce usuniętych w GS i prez. GRN wybrano prostych chłopów, którzy wyróżnili się w walce o plany państwowe. Prezeser. GS został Bartyl, który pół życia spędził na służbach, jak również Kryjak Józef, nowy przewodniczący Prez. GRN. (Otóż i wracam do aktualnej sprawy). Tak wypracowany i wyprobowany styl pracy aktywny polityczny pozwolił Partii i ZSL wziąć na siebie rolę przewodnika i pomocnika w upłynieniu rezerwy ludzkiej na Ziemi Odzyskanej. Na posiedzeniu członków Partii przedyskutowano sprawę osadnictwa, zaznajomiono się z nastrojami ludności. Tak samo na zjeździe gminnym ZSL. Podjęte zobowiązanie z okazji 60-lecia urodzin Prezydenta Bolesława Bieruta o werbunku na Ziemię Odzyskaną zostało w całej gminie przyjęte z entuzjazmem. W dniu 27 III br. na wspólnym zebraniu członków PZPR i ZSL opracowano plan przesiedlenia ludzi na Ziemię Odzyskaną. Węć najpierw postanowiono: na każdej gromadzie opracować spisy tych rodzin, które chcą wyjechać, względnie wahać się jeszcze albo takich, których gospodarce warunki kwalifikują na osadnictwo. Następnie aktyw polityczny podzielił te rodziny pomiędzy siebie celem udzielenia pomocy i pełnego uświadomienia o możliwościach uzyskania lepszych warunków rolnych. Przez masową uświadamiającą pracę z zainteresowanymi, jak również przez otoczenie opieką wyjeżdżających problem zaludnienia zniknie z gminy Bystra raz na zawsze.

Równoległe z akcją osadnictwa toczą się dyskusje o spółdzielczość produkcyjną. Dziś dyskusje te są powszechne, można by powiedzieć, że już stały się „domowymi”, bo wśród pracującego chłopstwa problem ten nurtuje coraz głębiej i w niedługim czasie gmina Bystra zmieni również swoją gospodarczą strukturę. Aktyw starannie przygotowuje się do największego zadania — powiązania się z całym bezpartyjnym chłopstwem pracującym. A chłopcy w Bystrze, to chłopcy uparte. Kiedyś i do niedawna jeszcze uparte w „staniu”, w tradycjach dobrych i złych. Ale dziś, kiedy dorobiło się swoich działaczy z juhasów, pastuchów i komorników, kiedy Partia podniosła w nim świadomość polityczną, uparte góralskie wyda nowo owoc — mocną decyzję i twardą walkę o zrealizowanie socjalizmu na Podhalu, prawdziwej wspólnoty góralskich gromad.

Ludwik Maj

MICHAŁ BUCZEK

Z POWIATU SIERADZKIEGO — WSPOMNIENIA WALKI

JAKZE my szybko zapominamy o tym, co było. Chciałbym tu przypomnieć chłopom całej Polski rok 1933 — rok kłeski i urodzaju, kiedy ceny na zboże i inne produkty rolnicze spadały wciąż, kiedy nie miał ich kto kupować i gdy na wsi zapalęk kroilo się na części.

Wtedy to Zw. Zaw. Rolników w Warszawie ogłosił 2-tygodniowy ogólnopolski strajk rolny, w czasie którego chłopci mieli nie odstawić swoich produktów do miasta.

W załączeniu przedstawiam tajemną ulotkę nawołującą do strajku, za której roznoszenie groziła Bereza Kartuzka. Chłopi pow. sieradzkiego, gdzie strajk udał się dobrze, pamiętają go, bo brali w nim sam udział.

Nie mówię tu o chłopach nieświadomych i kulakach, czyli lamistrakach, który wozy jadące na targ grupy wicarzy i wyzwolenców zatrzymały, a w razie oporu wozy wywracały.

2 tygodnie trwałimy w czynnej walce z sanacją wierząc, że da to rezultat, że poprawi nasz nędzny byt. W tym czasie rozpowszechniła się u

nas piosenka p. t. „Brygada” o Piłsudskim i jego kłice, której śpiewanie było także zabronione, a którą również załączam. Dziś jeden z jej współautorów, małorolny chłop, Józef Jadowski jest przewodniczącym spółdzielni produkcyjnej w Okopie, sławnej spółdzielni!

U mnie w mieszkaniu we wsi Lipno, pow. Sieradz, przeprowadzano ścisłą rewizję szukając ulotek, a mnie aresztowano.

Strajk w 1933 r. i następne strajki krwawo tłumione nie odniosły zamierzzonego celu. Winą był brak ścisłego sojuszu z klasą robotniczą. Winą był brak prawdziwie oddanych sprawie chłopskiej przywódców ruchu rolnego.

Tak było. I dlatego pamiętajcie chłopci, że nasza Konstytucja, to jest ta prawdziwa robotniczo - chłopska Konstytucja, którą znać musimy i strzec jak źrenicy oka, bo ona zapewnia nam prawa, o które walczylimy i ginęliśmy synowie klasy robotniczej i chłopskiej.

Michał Buczek

Dąbrowa, 30.III.52 r.

CHŁOPI ROLNICY!

Wrzesień, 1933 r.

My, chłopci Rolnicy w ciągu ostatnich lat sprzedajemy produkty rolne niżej własnych kosztów. Zjadamy wprost swój warsztat pracy. Pomimo to długi nasze w bankach i zaciągane u spekulantów — rosną. Cisną nas nadmierne podatki w stosunku do dochodów, a jeszcze więcej od wysokości podatków upomnienia, kary, koszty egzekucyjne i sposób nieludzki postępowania egzekutorów.

Kłeska dla rolników przyszła niesłychana, w niektórych okolicach za żyto spekulanci chcą płacić tylko po 8 zł z metr. Chłopi! Drobnicy rolnicy! Musimy się sami ratować przed ostateczną nędzą. Musimy sami zorganizować samoobronę.

Wasz Związek Zawodowy Rolników wzywa Was, Chłopi, w całej Polsce do zorganizowania solidarnego wystąpienia.

Od dnia 25 września do dnia 7 października niechaj nikt ze wsi nie jedzie do miasta. Niechaj żaden rolnik ani jego żona w tym czasie nie nie sprzedaże ze swoich produktów.

Tym sposobem Oddziału Z Z R. i cały ogół chłopski, jak Polska długa i szeroka, jednolicie, solidarnie wobec całej Polski poprzecze i zgładzi chłopskie, a mianowicie:

PODNIESIENIE CEN NA PRODUKTY ROLNE, a nadto:

1) zniesienie karteli, sztywnie podnoszących do niesłychanych granic ceny wyrobów fabrycznych,

2) zmniejszenie podatków w stosunku do cen za produkty rolne,

3) zmniejszenie podatków w stosunku do cen za produkty rolne.

Ogół chłopski zmuszony jest do obrony resztek gospodarczego swojego miemia, do walki z nędzą.

Walczymy z wszelką krzywdą rolnika i spekulacją, nie zaś z miastami i nie z robotnikami, jak to różni będy próbowali wmawiać. Walczymy będzemy spokojnie i zgodnie z prawem, bo prawo rolnika jak i innym warstwom i zawodom, rezulawa na takie wystąpienia. Wolno nam na targi i jarmarki nie jechać, wolno nam nie kupować i nie sprzedawać.

Sila nasza, wielomilionowej gromady, w solidarności, w zwolaniu: „JEDEN ZA WSZYSTKICH, WSZYSCY ZA JEDNEGO”

Od 25 września do 7 października chłopci w całej Polsce nie jadą na targi i jarmarki i nie nie sprzedają i nie nie kupują

ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU ZAWODOWEGO ROLNIKÓW

Przeczytaj! Oddaj drugiemu! Naklej na widocznym miejscu!



Leokadia Nowak, jedna ze współautorów piosenki pt. Brygada.

BRYGADA

(Piosenka śpiewana przez chłopów w Sieradzkim od r. 1929).

Dowódca pierwszej brygady
To taka pogańska dusza,
Gnębi on złomków, rodaków
I to go wcale nie wzrusza.

Opasał się ministrami
W postaci przystorów, sławków
A naród jęczy i kona
Wśród terroru i podatków.

Wydał liczne bankiety
Pieniężmi ludu frymarczą
I jada hen na Riwierę
Tam się szubrawcy lajdaczą.

A ich naczelnik z buławą
Mknie z świętą swą na Madery
Nawładzać liczne stosunki
I wabić głupie bliagery.

A burżuazja i hrabstwo
Śmieje się w kutak aż miło,
Bo dał im prawo szubrawiec,
Jak im się nigdy nie śniło.

A pułkownik rząd rządził
Za naczelnika posuchem
Kto z Centrolewu coś powle
Zaraz wsadzają nad Bugiem.

A w Polsce Demokratycznej
Dokonano wielkiego cudu
Miejscie odosobnienia — Berezę*)
Zbudowano przywódców ludu.

Nad Bugiem w wielkim więzieniu
Siedzą mężowie tam znani
Nie zdradzą oni narodu
Choć ich tam biją pałkami.

A naród jęczy i kona
Chłop głodny chodzi za pługiem
Bo prawo ludu zdeptano
Posłowie siedzą nad Bugiem.

Szef Brzeźcia — Kostek-Biernacki
Wydał tajne rozkazy
O sposobach nowych terrorów
Tam ciągle myśli i marzy.

Bo chociaż chłop i robotnicarz
Granicę krwią własną znaczył
Na ołtarz ołczyzny kładł głowę
By wolną ojczyznę zobaczył.

Lecz naród jeszcze nie kona,
Iż przysła złota nadzieja,
Bo widzi na własne oczy
Ze ma przed sobą złodzieja.

Lipno 1929 — 30 r.

Współautorzy: Józef Jadowski, Michał Buczek i Leokadia Nowak.

*) „Bereza” weszła do piosenki od roku 1934.

ALINA WITKOWSKA

EPOS O WOJNIE NARODOWEJ



ZENONA MACUŻANKA

„Powiej, wietrze z Ukrainy...”

NAGRODZONĄ książkę Igora Muratowa — „Opowieść bukowina” czytelnik polski znajdzie w tłumaczeniu miesięcznika „Literatura Radziecka” z ubiegłego roku. Tym chętniej sięga do znanej pozycji dla przedświadczenia raz jeszcze jej wartości. Powracając do niej, szybko przypomina wrażenia pierwszego spotkania. Są one żywe i serdeczne. Takie jak książka.

Utwór Muratowa, to proste opowiadanie o życiu i drodze do społeczeństwa socjalistycznego mieszkańców uciemiężonej niegdys przez burżuzję austriacką i rumuńską Bukowiny, Tanasy Karpiuka. Przy pominięciu o wiele podobnych opowiadań i powieści radzieckich, wiele naszych pozycji współczesnych. Zbieżności zasadzają się na podobnych losach bohatera — nie w tym dziwnego — ten typ dziejów człowieka reprezentuje bowiem ogólny proces rozwoju społecznego. Jest jednak w książce coś, co stanowi o jej odrębnym uroku. Dzieje Tanasy Karpiuka przedstawione w kształcie prostej chronologicznej relacji starego kolchoźnika, przekazywanego swojemu doświadczeniu życia pisarzowi, rodzajowo stanowią piękny przykład opowiadania ludowego. Socjalistycznego opowiadania ludowego



Na wybory 1947 r.

go, przenikniętego ogromnym optymizmem, gorącą miłością do życia i ludzi. Zachowany został ludowy tok narracji, oszczędny a jednak barwny i plastyczny. Żarliwość i serdeczność, towarzysząca głębokiemu dostrzeganiu korzeni społecznych zobrażonych konfliktów, prostota słownictwa i środków artystycznych składają się na duże osiągnięcia artystyczne Muratowa. Ta właśnie serdeczność, głębokie uczuciowe zaangażowanie się pisarza w losy bohatera stanowią o pięknie opowiadania. Obok tego narzuca się druga, ważna, decydująca o jego wartości cecha utworu — to głęboka i prawdziwa motywacja psychologiczna postępowania przedstawionych w powieści postaci. Książka świadczy o dużym doświadczeniu ideowo-politycznym pisarza, o jego głębokim osobistym udziale w procesie społecznego przekształcania Ukrainy. To właśnie zdecydowało o przejmującym i prawdziwym przedstawieniu konfliktów. Czytając opowiadanie chwytałyśmy się na myślach o jego autentyczności. Oszczędność słów, lapidarność w charakterystyce epizodów zdają się o tym świadczyć. Muratow konsekwentnie przestrzega wynikających z przyjętego rodzaju powieściowego reguł literackich.

Bohater opowiadania — Tanasy Karpiuk nie jest specjalnie wybitną, nieprzeciętną indywidualnością. Typowość jego i jednocześnie prawdziwość zawarta jest w tym, że reprezentuje on w kolejach swego losu proces powolnego, ale ciągłego dorastania biedoty wiejskiej do rewolucyjnej ideologii proletariatu. Na początku opowiadania Karpiuk przytacza swoją rozmowę z przedstawicielem amerykańskich związków zawodowych — zawiera ona jak gdyby „sentencję filozoficzną” opowieści Muratowa:

— „Mówicie, mordercy Karpiuku, żeście wszystkim osiągnęli dzięki temu, że was wychowała partia komunistyczna. Dla mnie, darujcie, to tylko frazes...” (są to słowa delegata amerykańskiego — p. m.)

Słyszeliście?... I zaczął mi dowodzić, że sam człowiek, skoro jest silny i wytrzymały, może się we wszelkich warunkach dobić szczęścia. Wtedy mi się właśnie przypomniało, iż sam kiedyś byłem zdania, że o własnych siłach mogę szczęście znaleźć...”

„Szukanie szczęścia o własnych siłach” — tak można by określić pierwszy etap życia „straconych złudzeń” Karpiuka. Okres to długi i ciężki. Młody i pełen wiary w możliwości zdobycia indywidualnego „dobrego losu” w ustroju kapitalistycznym uparcie i wytrwale dąży do „swego”. Jako najemny robotnik wiejski przez wiele lat sprzedaje swe siły bogaczowi, aby spłacić procenty za swoją mizerną chatkę. Ale i tego nawet nie może dokonać.

Z pomocą w ciężkim życiu Tanasego przychodzi Bernik — czolowy wówczas przywódca ruchu rewolucyjnego w tym okręgu. Tanasy wspólnie z Bernikiem splawiają drzewo od huculów, narażając się na groźbę pochwycenia bądź postrzeżenia przez straż graniczną. Chatę stawiają z pomocą sąsiedniej, bezrobotnej wówczas gromady. Tanasy przyjmuje to wszystko jako przypadkowe, szczęśliwe zdarzenie losu. Nie rozumie jeszcze, że Bernik i bezrobotny proletariot pomagający mu w trudnej sytuacji reprezentują określoną siłę społeczną, konkretną ideologię. Widzi potęgę, jaką daje zwrócić się i wspólnie działania uciśnionych — nie umie szerszej pojąć tego zjawiska, nie wie jeszcze, że w drodze działalności ci uciśnieni mogą przekształcić społeczną rzeczywistość. Tanasy znów uwierzy w możliwość samodzielnego szczęśliwego „urządzenia” życia w ustroju krzywdy i wyzysku. W ciężkiej sytuacji ucieknę się do ostatniej „deski ratunku” — uwierzy w burżuazyjną utopię zdobycia szczęścia i dobrobytu w Ameryce. Dopiero długi pobyt za granicą, okrutne rozczarowania, nędza „wyleczą” Karpiuka z wiary w ułożenie pomyślnego życia prostego człowieka pracy w warunkach zastrzeżonego wyzysku kapitalistycznego. Wówczas popadnie on w głęboką apatię. Nie będzie jednak w niej trwał długo. W czasie jego pobytu za granicą wyrosli jego synowie, rozszerzył się krąg rewolucjonistów na wsi — do niego wciągnięto także synów Karpiuka. Spotkanie się ojca i synów na zebraniu zorganizowanym przez Bernika decyduje o dalszej drodze ideowej tej rodziny. Wszystkie etapy „tracenia złudzeń” pokazane są w życiu Karpiuka poprzez działalność — mówią o nich fakty. Jest to znamienne dla książki Muratowa i to stanowi o jej porywającym realizmie.

Etapy wyzwolenia Ukrainy Zachodniej przez Armię Radziecką a następnie wypędzenia okupantów hitlerowskich pokazane są dość skrótowo. Opowiadanie rozrasta się obszernie w okresie budownictwa pokojowego, powstawania gospodarki kolektywnej. Tanasy aktywnie uczestniczy w przekształcaniu życia swej wsi. Przewodzi w pracy związanej z kolektywizacją. Ombyśla sposób powiększenia posiadłości kolchozu poprzez wykarcowanie wysokich, górskich polaci pokrywanych karłowatym drzewem. Pomyślnie racjonalizatorski Karpiuk zostaje wkrótce przyjęty przez kolchoz, interesuje się nim Instytut Naukowy. Staruszek dopisał swego nowego marzenia — staje się sławny. Chwila ta zbiega się z drugą, nierównie ważniejszą w życiu bohatera — z jego wstąpieniem do Partii. Oto myśli Karpiuka po tym historycznym dlań fakcie — w znamienity sposób obrazujące to, co osiągnął Karpiuk w swoim rozwoju osobistym. Takim akordem zamyka się historia tego prostego, lecz jakże pięknego życia:

„Zdarzyło wam się kiedy iść rozległym polem z kosą na przedzie sznura kosiarzy? Wczoraj, kiedy człowiek za kimś kosił, pracował niby nie gorzej niż inni: brał szeroki pokos, lekko i pod sam korzeń. A dziś poszedł prodem i wszystko wyjada mu się inne.

Oczy patrz uważnie naprzód, a uszy słuchają: jak tam z tyłu? Czy wszyscy nadążają? Czy równo idą kosiarze?

Kamień zauważył albo żelastwo jakieś pod nogami, to nie to, co wtedy kiedy szedł ostatni — ominął i po uszyszkim. — Nie. Ogląda się i daje znak ręką, ostrzega, żeby ktoś kosy nie zgwał i nie wyszczerzył. Bo on teraz nie prosty sobie kosiarz, ale przodownik”.

Zenona Macużanka

TEGOROCZNE Nagrody Stalinowskie w dziedzinie literatury, stanowią poważny etap na drodze rozwoju i artystycznego doskonalenia sztuki realizmu socjalistycznego. Nagrodzone pozycje literackie wskazują na drogę zwycięstw pisarzy radzieckich sięgających do coraz trudniejszych, bardziej skomplikowanych, elementów życia narodu budującego komunizm i jego historii pełnej bohaterstwa i walk mas ludowych. Słuszny słosunek do nowego i dawnego życia narodu, chęć pokazania obok ludzi i zadań epoki Stalina, najlepszych, rewolucyjnych tradycji narodu, przyniosła w tym roku bogato zróżnicowaną pod względem tematyki powieść radziecką. Świetna, pełna epickiego rozmachu i właściwego rozumienia historii powieść Zlobina o ludowym przywódcy buntów chłopskich końca XVII stulecia Stepanie Razine, powieść Łacisa „Ku nowemu brzegowi”, epopeja o wojnie narodowej Popowkina, czy reportaże Poltorackiego, dają szeroki wachlarz artystycznych osiągnięć literatury radzieckiej na obecnym etapie, dają perspektywę dalszego, wielostronnego jej rozwoju. Trudne i wielkie zadania jakie stawia przed pisarzami radzieckimi rzeczywistość i wymagają, często surowy w sędach estetycznych zwiększają skalę artystycznych wymagań, żądają od pisarzy książek na miarę czasu.

Dwutomowa powieść Eugeniusza Popowkina pt. „Rodzina Rubaniuk” odznaczona Nagrodą Stalinowską III stopnia stanowi duże osiągnięcie w zakresie artystycznego opanowania rozległej tematyki Wielkiej Wojny Narodowej w Obronie Ojczyzny. Ten bohaterski pięcioletni okres, kiedy naród radziecki samotnie zmagał się z potęgą hitlerowskiego najeźdźcy skupił tyle wypadków o niespotykanej dotąd treści historycznej, pokazał tak bezmiar ludzkiego męstwa, bohaterstwa i patriotyzmu jaki długo jeszcze będzie zadziwiał świat. Nigdy dotąd słowo ojczyzna nie dźwięczało tak mocno, słowo partia nie brzmiało tak połączony, gniew ludu nie był tak silny, stalowy „kij wojny narodowej” nie był tak mocno. Być literackim monografistą tego właśnie okresu to odpowiedzialne i wielkie zadanie. Trudno jest mówić o ludziach i czasach, które przerosły wyobraźnię.

Historyczna epopeja Wielkiej Wojny Narodowej zrodziła pokazywany cykl utworów literackich, poświęconych w całości temu okresowi. Są to liczne wspomnienia uczestników wojny, literackie pamiętniki i powieści pisane często przez bohaterów wojny, którzy zupełnie przypadkowo skrętili na podwórko twórczości literackiej. Wiele z nich to nieporównane nieraz, pisane z wielką prawdą artystyczną wspomnienia z pola walki tej miary co Niekrasowa w „Okopach Stalingradu”. Również pisarze radzieccy uczestnicząc w Wojnie Narodowej jako żołnierze czy korespondenci wojenni, w utworach swych dali świetne literackie obrazy męstwa i bohaterstwa najwyższej rangi, które stało się powszechną cechą radzieckiego żołnierza. Poemat Twardowskiego o Wasyliu Tiorcinie — wzorze radzieckiego żołnierza, dzieje „prawdziwego człowieka” — lotnika Meresiewa w powieści Polewoja czy Simonowa „Dni i noce” należą do najwyższych osiągnięć literackich grupowanych wokół tematyki Wielkiej Wojny. Jednakże do tej pory nie mamy wielkiego, epickiego utworu, który byłby niejako literackim zwierciadłem okresu, w którego rozległych epickich ramach zamknęłaby się potężna i skomplikowana problematyka czasu. Rolę takiego literackiego podsumowania epoki stanowi np. „Wojna i pokój” Tolstoja dla walk z Napoleonem czy „Cichy Don” Szolochowa dla okresu Rewolucji i wojny domowej. Nie znaczy to, że utwór tego typu powstać musi, ale może i powinien. Powieść Popowkina jest dość dużym etapem na drodze do stworzenia literackiej syntezy okresu Narodowej Wojny z faszystyzmem. Ambicją pisarza było stworzenie powieści, która by w rozległej problematyce zamknęła losy frontu i zaplecza, pokazała, jak wyrastał naród w latach wojny, jak i dalszego zwyciężył. W centrum uwagi pisarza leżą losy rodziny ukraińskiej Rubaniuków, szerzej — losy radzieckiej Ukrainy w czasie wojny.

Ukraina dość szybko, bo już wczesną jesienią 1941 roku znalazła się pod okupacją hitlerowską. To zdecydowało o jej dalszych losach w ciągu wojny. Taktyka okupanta zmierzała do zaszczepienia nacjonalizmu, do zburzenia więzi łączącej Ukrainę ze Związkiem Radzieckim. Temu celowi służyła restauracja starych, trąjących myszka i carskim reżimem władz i urzędów kozackich, rzekomej kozackiej wolności. Zdrójców i renegatów ukraińskich przysyłano w szarawary z lampasami, kolorowe wyszywane koszule, przywrócono nawet... własność indywidualną ziemi. Dojrzały politycznie naród ukraiński dał właściwą odprawę nacjonalistycznym i faszystowskiej ideologii. Ukraina, której najlepszy synowie krwawili na frontach wojny narodowej, skupiła się mocno wokół podziemnej rrtii

bolsewickiej organizującej ludzi do partyzanckiej lub drogą sabotażu prowadzonej walki z wrogiem.

Renegaci ukraińscy w powieści Popowkina są źli i okrutni, podli i mali, przynoszą wiele nieszczęścia i cierpień narodowi, ale nigdy nie przestają być ludźmi na miarę nędznej sprawy której służą. Okupacja hitlerowska była przysłowiowym sitem, które odsiało plewy. Naród ukraiński wyszedł z niej jednolity, zahartowany w walce, silny niezłomnym radzieckim patriotyzmem. Na okupowanych terenach Ukraina krzepnie moralno - politycznej jedności narodu, jedności frontu i zaplecza przebiegała przy pomocy innych realiów niż w reszcie kraju, może ostrzej i boleśniej, bo w walce z własnymi ojczyźciami, ale niemniej klarownie i jasno. Rodzina Rubaniuków, której członkowie walczą na froncie jako żołnierze i oficerowie Armii Czerwonej, w lesie, jako partyzanci, we wsi, jako



B. Niemceński

kolporterowie antyhitlerowskich ulotek jest typowym, symbolicznym niemal wyrazem jedności narodu w walce z faszystyzmem. Oczyma Pietra, Oksany, Iwana czy Saszy Rubaniuków patrzymy i oceniamy wypadki wielkich czasów. Pozwała to autorowi na dość duże zwarcie kompozycyjne, ratuje utwór przed tak często spotykanym rozłamem powieści na historyczną relację autorską i powieść o losach bohaterów. Niemniej przesadą było by twierdzić, że rodzina Rubaniuków jest jedynym bohaterem powieści. Epickie ramy utworu objęły zjawisko szersze, pokazały, może nie zawsze wyraźnie, istotnego bohatera tych czasów — naród radziecki i jego wielką Armię Czerwoną. Powieść Popowkina bez-

względnie najpełniej w dotychczasowej produkcji literackiej pokazała drogę walk wojsk radzieckich od momentu wybuchu wojny do wypędzenia wroga z kraju. Obserwujemy wielki proces moralnego, politycznego i bojowego wzrostu armii, który uczynił ją niezwyciężoną.

Wrog wykorzystując moment zaszkoczenia niespodziewanym napadem, usiłował demoralizować wojska radzieckie. Plan faszystów zawiódł jednak na całej linii. Armia Czerwona cołaję się w bezustannym bju, bohatersko wydobywając się z okrążeń, wbrew przewidywaniom faszystowskiego dowództwa krzepła, potężniała, w 1942 roku przeszła do kontrofensywy. Wielka siła radzieckiego patriotyzmu, miłość do ziemi ojczyźnej, wierność partii i Stalinowi — mianowicie zwykłych Iwanów czy Wasyli w bohaterów Narodowej Wojny. Popowkin z dużym artyzmem i miłością przedstawił przeróżne, jakże bogate,

ich osobisty przykład, wysoka ideowa ranga były podstawowym wkładem w ukształtowanie moralno - politycznego oblicza Armii Czerwonej. Popowkin pokazał partię poprzez ludzi, w pracy politycznej z żołnierzami, wskazał na atrakcyjną, przyciągającą w najcięższych momentach wojny siłę i moc partii. Stary żołnierz Sibirak składając deklarację do partii tak to określił: „Bez partii... teraz nijk nie moge, towarzyszu Wiatkin... Takie czasy... W panikę naturalnie nie wpada... i to, że faszysta nas zwycięży, nawet mi przez myśl nie przechodzi... Na każdego gada kij się znajdzie. Ale z drugiej strony rozumieć przecież, że grozi wielkie niebezpieczeństwo. Takiej wojny za mojej pamięci jeszcze nie było. Więc największa nadzieja teraz w naszej partii. Trzeba bliżej do niej... Na mój rozum, na tym polega nasza siła, dlatego trzymamy się”. Tacy komuniści, jak Wiatkin, Pietro Rubaniuk, major Oleszkiewicz wnieśli wysoko honor legitymacji partyjnej i godność członka partii.

Popowkin chcąc dać możliwie najpełniejszy obraz wojny narodowej, właściwą część powieści poprzedził zobrażowaniem życia radzieckiej Ukrainy przed wybuchem wojny. To słusznie ideowo i artystycznie przedświadczenie — z takim mistrzostwem wykorzystane w „Cichym Donie” — w powieści Popowkina zostało zredukowane do łatwego przeciwstawienia i komentarza ideowego późniejszych — wojennych — dzieł Ukrainy. Początkowe partie utworu, niedostatecznie pogłębione ideowo, rejestrują z nieco naturalistyczną powierzchownością życie i pracę „wesolej Ukrainy”. Ten niedowład ideowy odbił się na początkowo niezdyscyplinowanej narracji, ubogiej charakterystyce postaci, nieciekawym języku. Dalsze partie utworu poświęcone tematyce Wielkiej Wojny w dużej mierze wyzbyły się tego błędu, w rysunku postaci i bogactwie zindywidualizowanego języka osiągając wręcz zdumiewające rezultaty.

Jeden z bohaterów Popowkina nosi w plecaku tomik „Wojny i pokój” Tolstoja, ale w utworze obecność wielkiego mistrza prozy rosyjskiej nie tylko na tym polega. Popowkin w swym obrazie Wojny Narodowej starał się nawiązać do najlepszych w tym zakresie tradycji Tolstoja i Szolochowa, aby dać bogaty, wyposzyony w realia i epicki rozmach obraz wojny.

Alina Witkowska

JÓZEF RURAWSKI

D Z I Ś W I E R Z B Y



Jan Wiktor

JEST rok 1933. Na wystawach w księgarni warszawskich ukazują się powieści Kadena-Bandrowskiego, Choromańskiego, Gombrowicza, Dolgi i Mostowicza... To burżuzja polska tworzy swą kulturę. System „uzdrawiania” stosunków społecznych znajduje oparcie w systemie okupacji czytelników i wypaczenia ich gustów. „Szerokie masy” otrzymują lekturę sławiącą ludzi krępkich, energicznych, nie cofających się przed żadną podłością i draństwem dla dojdęcia do władzy i bogactwa. Uwagę społeczną odrywa się od spraw najważniejszych, mitem pucybuta - milionera. Nie usłrój jest winien nędzy i wyzyskowi, lecz własna niezaradność czy skrupyły moralne. Każdy bezrobotny może znaleźć zaproszenie na raut do Rady Ministrów, a tam już byle miał głowę na karku — „wypłynię”. Każda bierna robotnica i ekspedientka może znaleźć wielbiela - milionera, który z miejsca przeniesie ją z wilgotnej, zaćmiej piwnicy do wspaniałego palacu.

To było dla „mas”. Dla wyrafinowanych zaś „wyższych kilku tysięcy” czytelników była lektura uduziwien, dreszczyków erotycznych i pseudo-filozoficznych rozważań nad własną jaźnią stanowiącą punkt centralny wszechświata.

W tym samym czasie ukazują się „Wierzy nad Sekwaną”) Jana Wiktor. Ta książka poruszająca jedno z najważniejszych zagadnień swego okresu — kwestię emigracji tysięcy bezrobotnych, ich losów i warunków życia — była przysłowiowym kijem

wielknięty mrowisko. Książka bowiem zmuszała do myślenia i reagowania.

Probleem bezrobocia w kraju, którego rząd prowadził politykę imperialistycznego flirtu z obcymi kapitalami, stał się po przewrocie majowym coraz bardziej niebezpieczny. Należało znaleźć odpływ dla groźnej, wręcz masy wygłodniałych ludzi, doprowadzonych nędzą do ostateczności. Najdogodniejszym wyjściem stała się sprzedaż „bydła roboczego” kapitalistycznej Francji, poszukującej taniej siły roboczej do najeźdźczych prac. Tylko w latach 1926—30 wymigrowało do Francji 285 tys. bezrobotnych ze wsi i miast polskich. Jednak światowy kryzys 1930 r. spowodował, iż tysiące Polaków brutalnie wyrzuconych z pracy, pozostawało na obczyźnie bruku, pod obcym niebem, bez środków do życia, bez możliwości powrotu. Ludźmi tymi ani władze polskie, ani francuskie nie zwracały sobie głowy. Te ostatnie interweniowały jedynie w wypadkach zakłócenia spokoju lub kradzieży jakichś dopuszczali się wygłodzeni emigranci. Któż bowiem miał się troszczyć o los Polaków? Francuscy kapitaliści, czy wyperformowani panicykowie z dyplomacji, wzdychający między dwoma rautami, nad „ciemnotą” wyzyskiwanych „rodaków”.

Znalazła się jednak siła, która zapiekiowała się bezdomnymi, zepełniła im na dno ludźmi. Tą siłą była Komunistyczna Partia Francji i proletariar francuski. Partia, choć znajdowała się sama w ciężkich warunkach niosła pomoc i opiekę polskim emigrantom.

Jan Wiktor przeszedł całą drogę krzyżową polskich emigrantów. Toteż obrazy jakich widzimy w „Wierzbach” są przejmujące — prawdziwe. Martyrologie polskiego wychodźstwa poznajemy na przykładzie losów głównych bohaterów powieści Jędrka Polańca i Józki Kowalczykowej z mazowieckiej wsi Zabno.

Autorowi głęboko przeżywającemu cierpienia niezmiernie wrażliwemu na krzywdę ludzką, brak było jednak dojrzałej sprzecywnej postawy ideowej. Dlatego też jego „Wierzy nad Sekwaną” dają niezwykle tragiczny i mroczny obraz świata kapitalistycznego, obraz jednak bez wyjścia i jednostronny.

Mimo tego bardzo poważnego braku, to co zostało ukazane, wydobyte było z taką pasją i siłą, że musiało wywołać oddźwięk w społeczeństwie. Burżuzja polska musiała zająć wobec powieści określone stanowisko.

Olo np. wypowiedź Leona Pomorskiego — jednego z krytyków socjalistycznego „Pionu” (Nr 8 — r. 1933).

„Poza Konopnicką nikt prawie nie zwracał uwagi na robotniczo - chłopskie dzieje za granicą. Uczynił to Wiktor z całą pasją narodowego i czysto ludzkiego oburzenia... „Wierzy nad Sekwaną” inicjują, albo raczej zainicjujące powinny dyskusję społeczną na temat emigracji. Jeżeli bowiem, nawet drobna część prawdy tkwi w powieści Wiktor, to ci polscy rozbiłkowie idą z ziemi wolnej po prostu do niewoli. Warunki pracy w istocie murzyńskie, wyzysk przedsiębiorcy okuły w bezlitosne przepisy polityczne... Wiktor trafnie odmalował proces gwałtu jakiemu podlegają ci ludzie. Gwałt to nie tylko fizyczny, ale i moralny... Nowe życie atakuje najczulsze unerwienia ich religijnej i obyczajowej tradycji”. Do tej porę zgadzamy się z krytykiem. Posłuchajmy jednak dalej: — „I od tego miejsca dydaktyczna tendencja utworu ustępuje nieliska artystycznej. (podkr. J. R.) Głównym jej celem jest odwołanie procesu walki wewnętrznej, odmalowanie ciężaru nieprzewidywanych komplikacji jakie spadają na elementarną psychikę chłopca, burząc jego bezpośredniość, prostolinijność, prowokując pod żywiołami, nowe żywioły, nowe formy świadomości i nowy stosunek do świata” itd, itd. A wnioski: „przelizywanie”, „zamazanie psychologiczne obrazu”, i „gdęby nie ten sentymentalizm”.

Sprawa jest jasna. Wylazło burżuzyjne sztydo z gęszcza frazesów. To nie polska sanacja, która zmusza ludzi do emigracji, to nie kapitaliści francuscy, w nieludzki sposób wyzyskujący robotników polskich i francuskich, to nie ustrój kapitalistyczny koni, to nie za upodnienie i upadek moralny bohaterów „Wierzb” lecz ich sentymentalizm i komplikacje jakie wkładają „ich elementarną psychikę”.

Oczywiście według zamierzeń autora wino za nieszczęśliwy i upadek bohaterów ponosi ustrój społeczny. Jednak brak jednolitej postawy spowodował pewne wahania kompozycyjne i artystyczne, które starała się wykorzystać krytyka burżuzyjna.

Mimo niesłusznej interpretacji tego faktu Pomorski ma rację kiedy stwierdza, że „technika Wiktor żywo przypomina reymonowska metodę obrazowania procesów psychicznych w „Chłopach”. Ten sam nacisk na poczucie przyrodniczej więzi z ziemią rodzinną, to samo ujęcie owej ziemi jako źródła „moralnych i fizycznych praw bytu”. W istocie czytają

N a g r ó d S t a l i n o w s k i c h

ZOFIA SZPROKOFF

W O L N A Z I E M I A

W roku 1858 obszary nad Amurem i Kraj Nadmorski przechodzą spod władzy Chin pod panowanie imperium rosyjskiego. Setki kilometrów tajgi zalewanej corocznie potężnymi wylewami Amuru i jego dopływów, urodzajna ziemia, lasy pełne zwierzyzny o drogocennych futrach stanowią olbrzymie bogactwo — ten, któremu sprzyja szczęście, może znaleźć skarb, jaki od razu uczyni go bogaczem — złoty piasek. Ale bogactwo to trzeba zdobyć, trzeba je wydźrzeć tajdze. Futra dzikich zwierząt, plony urodzajnej ziemi, złoto mają bogaci imperium rosyjskie — muszą — przetworzone na pieniądź — mnożyć się i wspierać jego potęgę. Ziemia, które utrwała potęgę Rosji na Dalekim Wschodzie, pozostają bez wartości, jeśli zasobów ich nie wydrze dzikiej, surowej przyrodzie człowieka. Tajga musi być wytrzebiiona, — ziemia zaorana, dzikie pustkowia zmienione w bogaty, osiadły kraj. Rząd carski inicjuje po r. 1858 wielką — trwającą parę lat — akcję przesiedleńczą. Idzie ona w dwóch kierunkach, przesiedleń przymusowych i dobrowolnych. Nad Amur ruszają setki rodzin chłopskich, aby swą pracą zdobyć — nie dla siebie — skarby Nadmorskiego Kraju. Ich wielka praca nad Amurem, praca nieraz całego życia wyda plon dla ludu dopiero w Kraju Rad. Na razie są to lata, w których narastają w Rosji elementy kapitalizmu. Chłopskimi rękami zdobyty zostanie dla rodzącego się kapitalizmu Nadmorski Kraj.

Oto sprawy godne wielkiego powieściowego ujęcia, które by ukazało w doskonałym kształcie artystycznym walkę chłopca rosyjskiego z tajgą, mrozem, dzikimi zwierzętami, jego niezłomną wolę budowania życia w kraju, który — ma tę nadzieję — będzie dla niego krajem wolności. Wielki i piękny kraj i jego zdobywcę doczekali się swojej epopei. Jest nią powieść Mikołaja Zadornowa „Wielka rzeka Amur” — pierwszy człon trylogii odznaczonej w całości Nagrodą Stalinowską.

„Wielka rzeka Amur” jest utworem, który zasługuje na szczególne uważne spojrzenie krytyki właśnie, dzięki umiejętności przetopienia słuszenie interpretowanego ideologicznie obrazu rzeczywistości w doskonale dobrany kształt artystyczny, który na-

daje mu pełną i przekonującą wymowę.

Gdy nad Amurem osiedlają się w 60-tych latach XIX wieku rodziny chłopskie, gdy zaczynają zmagania z tajgą, mrozem i skorbutem rodzi się wielka walka, nie tylko człowieka z dziką i surową przyrodą, ale i walka chłopca rosyjskiego o chleb i wolność. Chłopa rosyjskiego pełnią w daleki, groźny i nieznany kraj, wola zdobywania lepszej przyszłości, chęć wydobycia się z nędzy, ucisku obszarńnika, zdobycia swojej ludzkiej godności — dla niego owa ziemia, którą wydzierają tajdze jest ziemią wolności. Zadornow doskonale wydobyla heroizm, wielkość walki z przyrodą chłopca rosyjskiego w imię owej lepszej przyszłości, w imię walki ze „złym losem”, który prześladował go w kra-

jednak mocno z sobą — obrazów, w których kontrastowo obok obrazu pięknej, ale groźnej i dzikiej przyrody, widać pełnego woli zwycięstwa i uporu człowieka, pozwala ukazać, jak ciężka i ważna jest walka ludzi. Poszczególne obrazy ukazują kolejne etapy, kolejne nowe zagadnienia, nadadzą dziejom pierwszej zimy nad Amurem dzięki swemu rozmachowi i jednocześnie skondensowanemu, zwięzłemu ujęciu spraw i życia ludzi, cechy wielkiego, ale prosto ukazanego bohaterstwa woli i czynu. Patos, wielkość przedstawionych spraw jest słuszenie wydobytą przez swoiste zastosowanie „poetyki epopei”. To „ujęcie epopeiczne”, widoczne jest szczególnie w rysowaniu postaci. Przedstawiając chłopca rosyjskiego w walce o chleb

gora przebijają cechy niezwyklej siły moralnej i fizycznej — najbardziej uderzającym będzie moment, w którym odbiera kupcom chińskim małą dziewczynkę — którą ci zabrali jej ojcu za długi. To kształtowanie głównej postaci powieści na wzór herosów epopei nie czyni z niej jednak człowieka wyobcowanego z czasów i środowiska, w którym żyje. Jegor jest jednocześnie typowym chłopem rosyjskim z połowy XIX wieku. Ale taka, a nie inna konstrukcja artystyczna postaci pozwala zamknąć w niej wszystkie najlepsze cechy charakteru ludu rosyjskiego owych czasów. Jego mądrość, ludzką dobroć i dążenie do sprawiedliwości, jego siłę i upór w walce z przyrodą i „złym losem”, jego wiarę, że kiedyś go zwycięży. Postać Jegora dzięki monumentalnemu, heroicznemu zarysowaniu jest wyrazem wiary autora w siłę i mądrość ludu rosyjskiego, pozwala — w postaci jednostki ujrzyć najlepsze cechy narodowe ludu rosyjskiego.

Dla Jegora ziemia nad Amurem jest ziemią wolną, ziemią, która przywróciła mu jego godność ludzką deplaną w rodzinnej wsi przez „starszyńkę” - bogaczy. Ale czy pozostanie nią na długo? Równoległe z upartą, zacięłą pracą osiedleńców toczy się nad Amurem walka trzech braci Chińczyków, którzy skupiali dotąd w swoim ręku monopol handlu skórami soboli i lisów, z jednym z przesiedleńców. Iwan przybył nad Amur o wiele wcześniej niż Jegor i inni osiedleńcy. Ale nie chce trzebić tajgi; marzeniem jego jest zdobyć jak najszerszy majątek. Walka, jaką prowadzi Chińczycy z Iwanem — chytra, a jednocześnie bezwzględna i zjadła i jego ostateczne zwycięstwo, to zapowiedź walki, jaka niedługo rozpęta się między wielkimi przedsiębiorstwami handlowymi, zorganizowanymi już na zasadach przedsiębiorstw kapitalistycznych o bogactwa tajgi nad Amurem. Zwycięstwo Iwana to pierwszy, nieślubny jeszcze zwisłan kapitalistycznego wyzysku, w którego tryb dostaną się wkrótce chłopci. Bowiem gdy Iwan zaczyna handlować — nie jest to tylko „zamienienie jednego kupca na drugiego”. Zniszczenie on dawny — uprawiany przez Chińczyków — handel zamienią — futra na towary, zacznie płacić pieniądze, zresztą równie nagłne ceny jak i Chińczycy i, co ważniejsze, oprze się o wielkie przedsiębiorstwa handlowe w Mikołajewsku. Zadornow nie odmówił rodzajem się elementom kapitalizmu ich „zastęp cywilizacyjnych” nad Amurem — wszak dzięki „udoskonaleniu” metod handlowych przez Iwana zniknie zupełnie barbarzyński zwyczaj zabierania ludziom córki za długi. Ale jednocześnie da perspektywę tego, do czego zwycięstwo Iwana doprowadzi. Posługując się metodą kontrastu skonfrontuje autor pobudki wystąpienia przeciwko postępowaniu chińskich kupców ze strony Jegora i Iwana: ludzki protest przeciwko barbarzyństwu pierwszego i ukryty pod frazesami interes własny drugiego. Ukazując ludzi „rodzącego się kapitalizmu” operuje Zadornow metodą kontrastowania, zestawiania ich słów i czynów. To pozwala w sposób niezwykle celny na obnażenie drapieżności, zachłanności i bezwzględności rodzającego się nowego ustroju.

ANDRZEJ WALICKI

Brainina o Fiedinie

Książka Braininej o Fiedinie, odznaczona Nagrodą Stalinowską III-go stopnia za rok 1951, jest jedyną nagrodzoną pozycją z dziedziny krytyki literackiej. Fakt nie przyznania nagród I-go i II-go stopnia świadczy jednak nie tyle o poziomie krytyki, ile raczej o wielkim zastrzeżeniu kryteriów oceny jej osiągnięć.

W okresie wylężonej walki o jakość prac krytycznych, pryncypialnego i bezkompromisowego tępienia schematyzmu, płaskiego optymizmu i zamykania oczu na ujemne zjawiska życia, w okresie batalii o odwagę i oryginalność sądów, o krytykę nie tylko, w pełnym znaczeniu tego słowa, godną wielkiej literatury realizmu socjalistycznego, lecz zdolną również wskazywać jej drogi rozwoju, kryteria oceny muszą być zastrzeżone, a wzory nie pojawiają się od razu.

Przeprowadzona niedawno na łamach prasy radzieckiej dyskusja o dramaturgii wykazała przekonująco, jak ujemny wpływ wywarło na dramacie — rodzaj literacki, zakładający ostre przedstawienie sprzeczności i konfliktów życia — fałszywe pojmowanie: przez niektórych krytyków zagadnienia typowości, ograniczonego przez nich (w odniesieniu do utworów o tematyce współczesnej) jedynie do pozytywnych przejawów życia, co prowadziło w konsekwencji do teorii „bezkonfliktowości” społeczeństwa socjalistycznego. Niedostrzeżenie, chęć odsunięcia na margines „przypadkowości”, aktualnych sprzeczności życia radzieckiego zaważyła m. in. na fałszywej ocenie książki pisarza lotewskiego W. Laciśa — „Ku nowemu brzegowi”, odznaczonej słuszenie pierwszą Nagrodą Stalinowską.

Książka Braininej należy do typu prac oświetlających głównie problematykę dawno już przeżytych etapów literatury radzieckiej.

Prowadzi ona czytelnika po trudnych i skomplikowanych drogach, a często manowcach, którymi szła w ciągu przeszło trzydziestu lat twórczość jednego z najwybitniejszych, żyjących pisarzy radzieckich. Działalność pisarska Fiedina obejmuje sobą całokształt istnienia w Rosji władzy radzieckiej. Tematyka jego utworów (również powojennych) obraca się w kręgu zagadnień w znacznej mierze rozwiązanych już w ZSRR — w kraju, w którym kilka lat stanowi całą epokę. Stąd ułatwiona w pewnej mierze pozycja krytyka. Nie umniejsza to oczywiście w niczym wartości pracy Braininej, ani też ambicji i trudności zadania, które przed sobą postawiła. Mimo bowiem perspektywy historycznej, oddzielającej krytyka od czasowego zakresu tematyki książek Fiedina, podsumowanie, niejako zrekapitulowanie dotychczasowej jego drogi twórczej było zadaniem bardzo ambitnym i trudnym. Twórczość ta stanowi wyraz bardzo skomplikowanej i nietłowej ewolucji światopoglądowej pisarza, i daleko wykracza poza krąg zagadnień, w stosunku do których istnieją wypracowane i sprawdzone kryteria oceny Brainina w godny podziwu sposób wywiązała się z trudnego zadania krytycznego, podsumowania dorobku Fiedina przy pomocy nie zawsze prostego i łatwego w zastosowaniu, naczelnego kryterium prawdziwej krytyki — kryterium partyjności.

Zagadnienie ideologicznej ewolucji Fiedina przedstawia się w świetle książki Braininej, jako zagadnienie przezwyciężania elementów światopoglądu drobnomieszczańskiego w psychice przedstawiciela „najlepszej części przedrewolucyjnej inteligencji”. Autorka nie ucieka się do eufemizmów, ostro piętnuje „wrogi ludowi idejki”, głoszone przez formalistyczną grupę młodych pisarzy — „Braci Serapionowych” — z których grona wyszedł młody Fiedin. Najwyższe uznanie wzbudza jednak sposób, w jaki łączy ona surową i konsekwentną, partyjną krytykę zamierzonej ideologii i obiektywnej wymowy dzieł pisarza z głębokim szacunkiem dla jego wewnętrznej uczciwości, ze schyleniem głowy przed jego męczeńską drogą do pierwszych szeregów ideowej awangardy ludzkości.

Poetyzacja żywiołowej, niszczącej siły rewolucji, niedocenianie roli bolszewickiej świadomości, brak umiejętności zrzućcia z siebie starożytności i brak wiedzy czym go ma zastąpić, anarchizm, „taktyka rozpacz” (Lenin) — wszystko to, co męczyło Bloka, Briausowa i innych pisarzy starszego pokolenia — wszystko to podzielił z nimi młody Fiedin. Oddzielne fakty, przesłaniające sobą kierującą nimi ideę, bierny, mieszczański humanizm współczucia dla biednych, naderwanych „klaczy przewożących ciężki wóz historii z epoki w epokę”, fałszywe przekonanie o tragicznym konflikcie między historią a jednostkowym losem ludzkim, między determinizmem a moralnością — wszystko to zaciążyło nad twórczością Fiedina. Pisarz, który od razu jako człowiek stanął po stronie zwycięskiej Rewolucji nie od razu zdolał zrzuć z siebie ów balast, nie od razu potrafił usunąć ze swej twórczości tragiczny znak zapytania, nie-

pokój, czy Rewolucja przejmie to, co najszlachetniejsze i najpiękniejsze w starej kulturze, czy przyjmie jej najlepszych przedstawicieli, czy też oni sami skazują się na zagładę swoją słabością, nieumiejętnością przystosowania się do „surowych i wielkich praw czasu”. „Przed nami było wszystko, przed nami nie było nic” — głosi epigram jednej z pierwszych powieści Fiedina.

Książka Braininej nie bez wewnętrznej dramatyzmu kreśli kolejne etapy walki pisarza z owym starym gruzem — notuje zarówno jego zwycięstwa jak i porażki — natrętną ideę tragizmu artysty „skazanego na samotność”, chwilowy lęk przed biologiczną, drapieżną siłą ludzkiej „podłości”, ucieleśnioną w wyobrazonym, ubrającym do rozmiarów symbolu obrazie kulaka, pragnącym zrewolucjonować od środka. Lecz upór, wytrwałość, praca myśli, zwiększająca się z każdym dniem wiedza o rzeczywistości doprowadziły do zwycięstwa trudnego optymizmu nad łatwym pesymizmem. Idea prawdziwości biegu historii, idea zgodności interesów Rewolucji z dobrze pojętymi interesami każdej wartościowej jednostki, zrozumienie, że Rewolucja nie rezygnuje z żadnego człowieka — zostało przez Fiedina zaiste wycierpiane.

Brainina, analizując nietłową ideową i pisarską drogę Fiedina do proletariackiego humanizmu i realizmu socjalistycznego stara się jednocześnie pokazać jak najwyraźniej jego indywidualność pisarską, nie skłania czytelnika do łatwego, apodyktycznego „osądzania” błędów pisarza — przeciwnie, każe mu je zrozumieć i nie omijać, lecz po marksistowsku przewidywać.

Po uważnym przeczytaniu książki Braininej oraz zastanowieniu się nad jej zarówno formą jak treścią, niejeden z czytelników zada sobie pytanie, czemu właściwie przypisać zaliczenie tego rodzaju pracy do krytyki literackiej, a nie do historii literatury. Po głębszym zastanowieniu i zapoznaniu się z przedmiotem dojdzie jednak do wniosku, iż nie ma tu i nie może być sprzeczności — książka Braininej stanowi właśnie żywą i namacalny dowód nieistnienia jakichkolwiek pryncypialnych różnic między krytyką a historią literatury — wspólna metoda i przedmiot badań stanowią o ich nierozdzielnej jedności. „Naukowość” stanowić musi niezbędną część krytyki, partyjność oraz wprowadzania ocen — nauki. Jedyną uchwytą różnicą tłumaczącą używanie obu tych terminów jest różnica wyłącznie praktyczna, „robocza” — historyczność, bądź rzeczywistość współczesności badanego faktu literackiego. Praca Braininej jednak, rozpoczynając się analizą „Pustkowiak”, które sam Fiedin nazwał „owocem swego życia w starej literaturze”, a kończąc się omówieniem powojennej fiedinowskiej dylogii „Pierwsze porwy” — „Niezwykłe lato”, spełnia obydwie te warunki, tworząc swoistą syntezę pracy krytyka z pracą historyka. Przykład jej jest ciekawy i pouczający, świadczy o wzajemnej współpracy pisarza i literaturoznawcy. Autorka niejednokrotnie odwołuje się do tego rodzaju dokumentów historycznych, jak prywatna korespondencja pisarza — w wielu znów wypadkach podaje wiadomości zdobyte drogą bezpośredniego zwrócenia się doń po informacje. Każdy rozdział książki przeczytany został i zaakceptowany przez Fiedina.

Spośród licznych zalet książki Braininej zwraca uwagę rozpatrywanie ewolucji światopoglądowej Fiedina w ścisłym związku z etapami historii Kraju Rad oraz z ogólnym rozwojem literatury radzieckiej lat międzywojennych. Każda książka Fiedina omawiana jest w zestawieniu z szeregiem innych, poruszających podobne zagadnienie i podobnie, bądź odmiennie je rozwiązujących. Pozwala to wyprowadzić wiele ciekawych wniosków, wyraźniej zarysować indywidualność twórczą Fiedina. I wreszcie, wbrew fałszywemu poglądom niektórych krytyków, usiłujących wnieść mur oddzielający najlepsze tradycje realizmu krytycznego od realizmu socjalistycznego, pokazuje Brainina jak wiele przejął Fiedin z wielkiej tradycji klasycznej literatury rosyjskiej, jak bardzo pomogła mu ona w jego rozwoju pisarskim. Szczędrnowska pasja satyryczna, maksymalna ekonomia i intensywność środków wyrazu artystycznego Czechowa, wspaniały, prosty realizm Lwa Tolstoj, długoletnie przezwyciężanie szkodliwego wpływu Dostojewskiego i w końcu przykład i przyjaźń Maksyma Gorkiego — wszystko to znajduje w pracy Braininej obszerne omówienie i przekonująco naświetlenie.

Uwagi dotyczące formy artystycznej oraz języka fiedinowskiego nie zostały niestety odpowiednio rozwinięte — niemniej zawierają wiele materiału i ciekawych spostrzeżeń.

Andrzej Walicki

W poprzednim numerze „Wiś” drukowaliśmy fragment książki Braininej, ukazujący twórczość pisarzy radzieckich w okresie NEP-u.

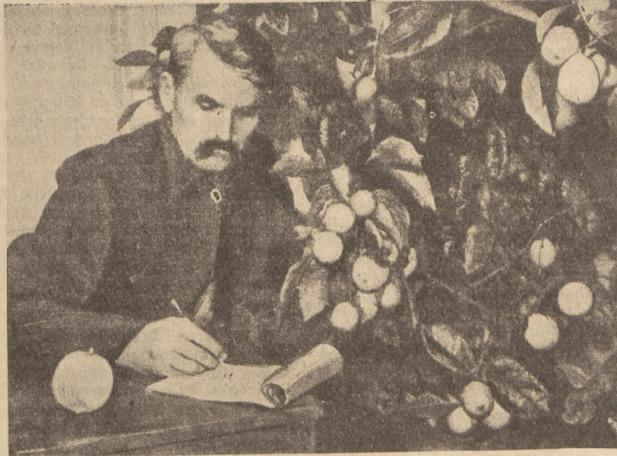


Foto A. Roszczupkin

ju. Jego narzędziem artystycznym będzie tu ujęcie dziejom pierwszej zimy osiedleńców nad Amurem w wielkie epopeiczne obrazy, które ukazują poszczególne etapy walki i nowego życia. Autor nie nawiązuje — niezbędnej zdawać by się mogło — nici „intrygi powieściowej”. Życie osiedleńców nad Amurem, to nie sprawa jednego wydarzenia, którego przeprowadzenie i rozwiązanie dąłoby jego pełny obraz. Ujęcie dziejom osiedleńców w szereg — złączonych

i wolność, autor ukształtuje jego postać na wzór herosa, świadomie stosując tu taki zabieg artystyczny, jak patetyczna charakterystyka odautorska. Oto przykład: „Silny, barczysty, wychudły od trudów i trosk, kroczył jak moczor, po swojej roli. Drzewa obrzyły, powalone przez niego, piętrzyły się dokoła, a po środku tego pobojujowiska, wyglądały spod śniegu czarne zagony zeszlornocznego ogrodu. Tam, gdzie Jegor stanął, ziemia dawała plony”. Także w czynach Je-

S Z U M I A I N A C Z E J

jąc karty powieści mówiące o pracy Jędrka na fermie trudno uwolnić się od sugestii pewnych partii „Chłopów”. Historyczna prawda polskiej emigracji robotniczej podmalowana jest naturalistycznym i biologizycznym tłem.

Ta niedojrzałość ideowa spowodowała zalamanie się realistycznej konstrukcji powieści w pierwszym wydaniu z 1933 r. Opisując życie polskich emigrantów, nie mógł Wiktor nie ukazać postaci działacza K.P.F. organizującego strajk górników, pomagającego Polakom w najcięższych chwilach zwątpienia i rozpacz. Jednak fakt, iż autor pisząc powieść nie wierzył w skuteczność środków i cel jak wskazywała K.P.F. ten fakt spowodował, iż postać ta, traktowana zresztą jako symboliczne uogólnienie, robi na czytelniku wrażenie nieco apostolsko - mistyczne. Z tego samego źródła wypływa fakt, iż w przedwojennej wersji książki Jędrak Polaniec „obojeżnie słuchają słów agitatora” po zabiciu francuskiego policjanta i sam oddaje się w ręce sprawiedliwości. „Po chwilowym zalamaniu chciał teraz skrzywdzonymi ustami krzyknąć słowo, któreby wstrząsnęło światem, zrozumiał, że za późno i pożałował gorzko. Zaczęł tylko kulak”. Chcąc przeczyć dać jakiś promień nadziei, chcąc znaleźć jakies pozytywne przeciwstawienie losom Jędrka, w zakończeniu wydania z 1933 r. ukazuje autor postaci dwu emigrantów wracających do kraju z nabitymi walizkami. Charakterystyczna jest rozmowa jaką prowadzi ci emigranci „obcy... życiu wykołujeńców”. Ta rozmowa to społeczne credo autora: „Powiem ci, tyle było w mnie przekleństw na Polskę, a ja nigdy nie narzekalem, nie przeklinałem swojego kraju. Mówiłem sobie: żebyś miał w sobie sam płacz, to ci nie wolno na swój kraj zapłakać... Przecie to matka... Dużym się nauczył i powiem ci, że nie mamy się czego wstydić, u nas lepiej jak gdzie indziej. Kraj piękny, ludzie mądre i sposobne... ziemia dobro ino jej mało, polargana i nte ma co w garść chwycić”. Toteż ich patriotyzm i pracowitość zostały nagrodzone i o bają wracają do Polski gdzie zacząć gospodarzyć całą gębą. „Rytym radonych kroków idących w przyszłość rozległ się donośnie wśród obcych ulic”. To optymistyczne zakończenie, nie związane z całością powieści, nie wynikające z akcji, sztucznie dołączone, razi czytelnika nie spodziewającego się takiego akcentu końcowego.

nia w powojennym (piątym z kolei wydaniu „Wierzb”). We wstępie do



Foto E. Goławski

tego wydania, autor mówi o brakach i błędach książki w jej poprzednich wydaniach. Wiele rzeczy stało się jasne dla pisarza, wiele rzeczy zrozumiał i odczytał na nowo. Stąd wyniki zmiany dotyczące przede wszystkim zakończenia. W toku powieści bowiem autor ograniczył się jedynie do usunięcia kilku scen i pewnego przygotowania zmierzającego do nowego zakończenia. W związku z tym nasuwa się pytanie, czy autor ma prawo dokonywać daleko idących zmian w nowych wydaniach utworu i w jakim kierunku winny one iść? Na pytanie pierwsze odpowiedziała już praktyka literacka. Wspomnę tu opracowanie drugiej wersji książki Fadjiejewa „Młoda gwardia” czy Kafajewa „Za władzę Rad”. Zmiany dokonane w książce winny iść przede wszystkim w kierunku głębszego poznania opisywanej rzeczywistości. Niestety faszystowska Francja nie dala autorowi wizeru jwzajdowej. Toteż musiał się on posługiwać jedynie materiałami już posiadanymi. Na usunięcie pewnych naturalistycznych scen powieści zyskała z pewnością. Zyskała także na odrzuceniu cytowanego powyżej ostatniego fragmentu z powracającymi emigrantami. Pozwoliło to na konsekwentne przeprowadzenie do końca realistycznej konstrukcji.

Jednakowe obecne zakończenie także nasuwa pewne zastrzeżenia. Po

zabiciu policjanta francuskiego i spokaniu z Józką która dla Jędrka wyjechała do Francji przechodząc straszliwą gehennę moralną i fizyczną. Jędrak nie oddaje się w ręce władz lecz ucieka do agitatora K.P.F. Patera. „Stanął na baczność. Skrzywdzonymi ustami krzyknął słowo mogące wstrząsnąć światem. (por. z wersją pierwszą cyt. powyżej — J.R.). Zaczął szepkać... Smukła silna postać rysowała się nieulekko, hardo wśród taczmanów. „W nocnych zaułkach rozległy się jak kujące mioty, kroki Jędrka biegnącego w nowe życie. W przyszłość. Daleka i uciążliwa droga. Ale dojdzie. Wciąż słyszał głos, który miał go wywołać i odrodzić”. Domyślamy się, że Jędrak udaje się do komunisty Patera. Jednak ten krok Jędrka nie jest w nowej wersji dostatecznie umotywowany. W rozmowie z Paterem poprzedzającej zabójstwo Jędrak stwierdza: „Już nic mi nie pomożecie. Uciekałem od was bo mię inni odganiali... Nie chciałem za wami iść i was słuchać. A teraz... teraz... wszystkie drogi zamknięte... Kłoby chciał rękę mi podać... Nie wolno tak mówić. Przyjdzie, pomożecie... Może się wam przydam... Różnie się może zdarzyć na świecie”.

Ta rozmowa wstawiona na miejscu dawnego zdania mówiącego iż „Jędrak obojeżnie słuchal słów agitatora” nie może przeczyć być dowodem wystarczającym dla przekonania czytelnika o postawie Jędrka. Toteż jego przejście do pracy w K.P.F. może być przez czytelnika potraktowane jako ucieczka przed policją, a nie o to przeczyć chodziło autorowi.

Książka Jana Wiktora wstrząsająca czytelnika, książka głęboko miłująca ludzi pisarza, z odwagą i zapałem występującego przeciw krzywdzie i wyzyskowi, ma dziś znaczenie historycznego dokumentu, pisanego gorącym sercem. Dziś Wierzbę nad Sekwaną szumią inaczej. Część emigrantów polskich powróciła do wolności, Ludowej Ojczyzny oddając na jej usługi swe zdolności pracę. Część, która pozostała, stoi dziś u boku K.P.F. w pierwszych szeregach ludu walczącego przeciw amerykanizowaniu Francji, przeciw wyzyskowi i wojnie.

Józef Rurawski

* Jan Wiktor — „Wierzbę nad Sekwaną”. — Wyd. I. W-wa 1933 r. „Rój” — Wyd. 5 W-wa 1951. — Książka i Wiedza” t. I — str. 228, tom II — str. 252.



Foto E. Goławski



Foto - J. K. Maciejewski

JÓZEF POGAN

O TYTUŁ DOBOSZA

artykuł również zatytułowany „Do Józefa Pogona”. Pisał go w 1946 r. Józef Bieniek. Niemala między nimi różnica. Wtedy i starszy czas i starszy człowiek się odezwał; dziś — nowy czas i młodszy człowiek. Ano, 6 lat w naszym tempie rozwoju — to ładny kawał historii. Bo czego to Józef Bieniek żądał ode mnie i wszystkich chłopskich pisarzy w r. 1946? Chciało by się rzec, że jakiejś ugodowej literatury o wst. Bieniek nawoływał pisarzy do eliminowania „brutalnej” walki klasowej na rzecz pokazania piękna czynów chłopskich dla rozwoju i podźwignięcia się wsi — tak by można jego apel streścić. Mimo, że wówczas jeszcze nie pojmowałem należycie znaczenia walki klasowej, lecz apel Bienieka irytował mnie przez to wołanie o „sypanie złotych ziarn pszenicy” w miejsce ukazywania kulakich macek, owych „Walków Buraków”, „Mordelaków” i innych prowodyrów, wyzyskiwaczy i gniebiących biedaków. Czy moje „brutalne” odzwierciedlenie walki klasowej było już podzwonnym, dla kulaków, że Bieniek nawoływał do jego eliminowania? I to w r. 1946? Nie, nie! Kulakowie wówczas mocno się jeszcze na wsi rozkraczali i rozparali! Trzeba więc było staczać z nim walkę, a nie „złote ziarna pszenicy” rzucać po równi na szerokie stajki bogaczy, jak i na wąskie kiszczki zagorziarzy — jak tego chciał Bieniek. Wtedy ja, kierowany raczej instynktem klasowym i poczuciem sprawiedliwości społecznej, niż świadomością, uważałem, że na progę rodzącej się epoki, najważniejszym i palącym zagadnieniem w twórczości literackiej było wykazanie przedwojennych warunków życia wsi, jej rozwarstwienia materialnego, klasowego i różnych na tym tle konfliktów, by przez to poznanie czytelnik lepiej mógł porównywać dawny czas z obecnym i łatwiej zrozumiał i docenił zmianę obecnego ustroju. Pierwsza moja książka „Ugody”, pisana w r. 1941, jak i późniejsze nowele „Cierpki owoc” wyraźnie ukazywały różnice klasowe na wsi i walkę. Czas — matematyk wymierzył, jak bardzo ja miałem wtedy rację. Ale obecnie rację mają: ów były „pasibuba” a dzisiejszy uczeń i Jerzy Hłond, kiedy żądają „o nowym życiu nowych utworów”.

OD koniec marca na wieczorze autorskim, podczas dyskusji, pewien starszy już uczeń szkoły zawodowej powiedział: „Piszcie opowiadania i reportaże z życia nowej, postępowej wsi... Bo np. w mojej rodzinnej wsi w Mieleckim, oprócz dworu, Akcji Katolickiej i paru przydrożnych świątków, nie już więcej godnego uwagi nie było. Chyba, że policzyć biadolenia, przekleństwa a przede wszystkim buntowanie się większości wieśniaków... A dziś jakże już jest inaczej: w podziemieckim pałacyku szkoła podstawowa, świetlica międzyorganizacyjna, ZMP, PZPR, ZSL, Samopomoc Chłopska i Gminna Spółdzielnia... Gdy przed wojną dzieci z naszej wsi musiały chodzić do dwuklasowej szkoły przeszło 2 km, dziś uczą się w siedmioklasowej na miejscu, a potem idą dalej do szkół... jak np. ja... W tym roku wychodzi około 20 osób... Przed wojną mój ojciec był formalnie — bydliącym, dziś nowa Polska dała mu ziemię z parcelacją, ja byłem uczniem średniej szkoły... O głodowaniu biedaków przed wojną nie chcę przypominać. Wy to dobrze znacie i opisyście... Ale piszcie też o tych wielkich osiągnięciach nowej wsi...”

Z wieczoru autorskiego wracalem zafasrowany. Przypomniał mi się artykuł Jerzego Hłonda, zamieszczonego w 9 nrze „Wsi” pt. „Do Józefa Pogona”. — Ki diabeł — myślę se — wszyscy do mnie z pretensjami. Przywołałem na pamięć wszystko, com kiedykolwiek przeczytał, widział, słyszał, pisał i czytał... Nie, to nie jest apel wyłącznie tylko pod moim adresem skierowany. Słowa owego ucznia ze szkoły średniej i Jerzego Hłonda są również apelem do innych pisarzy chłopieckiego pochodzenia.

Wróciłem do domu z „nabitą” myślami głową. Biorę „Wies” z artykułem Jerzego Hłonda. (Przed miesiącem zajęty wykładaniem powieści, zbyłem go milczeniem). Ale dziś po tym ponownym szturchnięciu... czuję raz jeszcze. I przypomina mi się

do lat przedwojennych. To, że nie przestalem na opowiadaniach matki i ojca, zawdzięczać mam”. A dalej: „Ja was dagnałem, bo kończę Gimnazjum w Katowicach. Wycię z okazji dyskusji nad Projektem Konstytucji przypomnieli dawne dzieje z Olkuskiego, a z nowymi ich nie porównaliście. Chcielibyśmy Was czytać w pismach bieżących... o ludziach i okolicach, z których pochodzą Wasze pamiętniki i kroniki, ukazujące upodłoga naszą okolicę i naszą biedotę. Pokażcie teraz jak ci sami ludzie niepodobni są do siebie sprzed lat, jak stają się integralną częścią narodu socjalistycznego...”

Oto apel nowego i świadomego życia człowieka! Z pamiętników-kronikarskiej mojej twórczości, uczy się przeszłości, ale żąda też nowych obrazów, ukazujących już nie tylko życie jego ojca, matki — starszego pokolenia. Żąda również ukazania w twórczości i młodego pokolenia, które w obecnym ustroju wyszło z kuczek, czy z robotniczej budy, i awansuje i staje się integralną częścią narodu socjalistycznego. Buduje nową, lepszą przyszłość ojczyzny. Takiemu już pamiętnik „Na glodnym zagonie” nie wystarczy, bo on chce, pragnie i żąda od pisarzy nowej rzeczywistości, takiej jak ich praca i życie. Idzie naprzód! Krok za krokiem zdobywa no-



Foto - J. K. Maciejewski

Jerzy Hłond pisze między innymi: „I ja urodziłem się w kuczce, z matki zagorziarki, z ojca zaś — proletariusza. Był on i jest nadal robotnikiem w pobliskiej kopalni „Kazimierz”. I tu się zaczyna drugi powód, dla którego wracam do Waszych opowiadań. Uświadomiłem go sobie rozmyślając nad Projektem Konstytucji. Wasz artykuł we „Wsi” bardzo mi w tym pomógł. Pisałiście w nim, że czytając rachunek wspomnień, każdy z nas dopiero głęboko pojmie nową Polskę — republikę ludu pracującego. Wasze wspomnienia (te w artykule i te w książkach) sięgają

we pozycje i wola i ciągnie za sobą takiego, jak ja pisał Tróchę mi wyszły za to.

Bo jak tacy zagorziarze wyszli z kuczek i robotniczych bud do nauki i budowy socjalistycznego kraju, to i pisarz winien im wyjść na przeciw. Wprawdzie jeszcze przed „Glodnym zagonem”, od 1945 r. pisywałem artykuły publicystyczne, polemiki na różne tematy i reportaże o pierwszych, organizujących się spółdzielniach produkcyjnych, ale gdzie

dalszy ciąg pozytywnych, budujących nową Polskę ludzi? Gdzie walka lat następnych? Ot, tu właśnie w ten letarg pisarza celnie trafił J. Hłond i ów dyskutujący ze mną na wieczorze uczeń, dawniejszy pasibuba u kulaka. Ich apel jest głosem całej młodej generacji i pod adresem wszystkich pisarzy.

J. Hłond mówi: „Iz cieszysz go, moje pisanie powieści o spółdzielni produkcyjnej” (nawiasem dodam, że już ukończona). Ale oprócz powieści, żąda też drobnych z bieżącego życia utworów. „Piszcie kroniki i portre-



Foto - J. K. Maciejewski

ty przemienionych ludzi z Olkuskiego...” Bo i tam w Olkusku, na tych litych piaszkach, skożysto — cieniostych wzgórzach, gdzie to przed wojną „korzec się siało kopę zbierając, a z kopy korzec młócić” — też zaszły po wojnie wielkie zmiany. Wsiach: Łobzów, Wierzbice, Szyce, Tarnawa, Wielka Wieś, chłopcy w spółdzielniach produkcyjnych już nie z „korca korzec zbierają”, skoro radują się przy obrachunku i rozdziale ziórów, a prywatni gospodarze patrzą na nich z podziwem. Oto materiał dla mnie na wiele reportaży i opowiadań. Wielka szansa jaką dała nowa historia na nowe portrety. Trzeba dopiero było młodego ucznia ZMP-owca, żeby mi o tym, jak i o podobnych, rodzinnych stronach przypomniał...

*

W końcu artykułu J. Hłond pisze: „W Waszej rodzinnej wsi w Jerzmanowicach powstała spółdzielnia twórczości ludowej, skupiająca wszystkich samorodnych artystów z okolicy...” Na to przypomnienie stukam się w czoło i wydziam sobie od różnych niedbaluchów. Tym bardziej, że o tym już wprawdzie wiedziałem. Bo tam właśnie trzeba było pisać nie tylko zwykłego pisarza, ale i satyryka! Nowy ustrój społeczny przeobraża życie, ludność, w tak oddalonych od miasta wioskach, skupia się i pracuje dla poprawy życia, idzie z rozmachem naprzód i tworzy, a ich spółdzielnią kieruje — jak mnie dokładnie poinformowano — imię obywatel Skrzypek Franciszek. Kłóć to zaczęły Skrzypek? Dyć psiamac jedna! Znam go jak swój palec, bo to graniczny sąsiad mego ojca! To polityk, który przeszedł nie białą jaką szkołę życia! Poza domem, wychowanie otrzymał

u organisty i w zakrystii, a potem w kopalni w Zagłębiu Dąbrowskim, jako dozorca, a następnie urzędnik. Ożenił się w r. 1920 i dostał za żonę sześć morgów, ojciec dał mu swoje sześć, później doszła jeszcze jakaś scheda po teściowej, więc stał się takim sobie „lepszym średniakiem” i odszedł z pracy w kopalni. Czy do pracy w gospodarstwie? Gdzież tam? Do przesuwania w Kasie Stefczyka, do wójtowania w gminie Sułozowa do polityki w OZN-ie. Wnet wybudował sobie piękny dom, stodołę i sklep założył. Hej, był ci to pan na „wsiowym chamstwie”, a nade wszystko nad nic nie znaczącymi dziadami. Kłóć z przeciwnikami przezwiał go „Mussolinim”. I słusznie, wszak tak potrafił mocno rządzić, że i Niemcy mięgiem poznali się na nim i powołał go na soltysa wsi Jerzmanowice. Wtedy specjalnie dał się dziadom we znaki — urządził na nich z granatową policją obławę, wyznaczał nawet jednomorgowym kontyngenty zboża i ziemniaków, z czego łupił zyski, bo wiadomo, biedacy nie mając zboża, odrabiali soltysowi za dorobek lub równowartość kontyngentu płacili pieniędźmi. Rozwijał się sklep, rozwijało się gospodarstwo, bo kilka krów zebranych od chłopów na kontyngent miał na wynajęciu u zafiancowanych ludzi. Niewygodni mu jeszcze sprzed wojny braćli Ratonie też przez niego zostali wysłani do obozu w Niemczech, skąd nie powrócili. Po wojnie Skrzypek wyjechał na Śląsk i przez pewien czas był wiceburmistrzem w Zabrze. Tam mu się podwiła noga, bo milicja przylapała jego brata, gdy wracał od niego z nadładowanym workiem ziemi.

Zatrzymałem się trochę nad życiem i działalnością kierownika spółdzielni twórczości ludowej, Skrzypka Franciszka, by wykazać: po pierwsze, że jeszcze nie wszystkie wsi oszczęszone są z wyzyskiwaczy i karierowiczów, nawet te, gdzie ogół przeżywa już na oczy i dorasta do nowych zadań. J. Hłond wymienił kilka podobnych postaci w swej okolicy, jak Głowacz, Garmulewicz, Bychowski i innych. Zapewne nowy prąd zmógł ich z estrady społecznej życia i osadził w cieniu własnych posesji (jeśli nie głębiej). W Jerzmanowicach Skrzypek już w kilka miesięcy po wyzwoleniu siedział w więzieniu. Na rozprawie sądowej został z „braku dowodów” uniewinniony i później sam skarżył niewinnych ludzi o posiadzenia. Ano, w pierwszych latach niepodległości miał jeszcze sanacyjnych przyjaciół — dygnitarzy, to mu pomogli w opresji. Obecnie ten proces wypadby zapewne inaczej.

A po drugie:

Przykład Jerzmanowic mówi nam o tym, jak daleko posunęła się rewolucja kulturalna na wsi. Zdolność wnikania w sprawy kraju, zdolność



Foto - J. K. Maciejewski

rządzenia nim na swoim terenie pozwoliła Jerzmanowicom uruchomić rezerwy takiej twórczości i pracy, które w chłopim życiu stoją zazwyczaj bardzo daleko poza gospodarką i polityką. Skupiono siły twórcze dla rozwoju kultury. I pod tym względem Jerzmanowice są znanymi i doniosłym przykładem. Ale równocześnie ukazując etap, na którym wieś polska wymaga rewolucji kulturalnej i rozwija twórczość w ścisłym tego słowa znaczeniu — przykład Jerzmanowice alarmuje o metodach działania wroga klasowego, który zepchnięty z placówek życia gospodarczego i administracyjnego, jak kornik drąży korę tego, co najmłodszego i najdelikatniejszego: nową świadomość kulturalną chłopów z takim trudem w nich samych wydzwigniętą. Drąży ją w miejscu najbardziej żywotnym, bo w specjalnej instytucji powołanej przez chłopów właśnie dla rozwoju tej świadomości i twórczości kulturalnej.

Ten przykład wzywa nas do czujności!

W tym właśnie nasze zaniedbanie, że nie ciągniemy kolejno ognia łańcucha twórczości, jaką rozpoczęliśmy. Te ognia powinny odzwierciedlać etapy walki, przemian i rozwoju nowego. Mówię przede wszystkim o sobie.

Kto powiedział „a” musi powiedzieć i „b” i „c”, kto, jak ja, pisał pamiętnik i kronikę rodzinnej okolicy, określonego regionu, winien ją dalej prowadzić. Sprawnie, na czas, aby nie tylko „zapisać” minione (choćby sprzed roku), ale pomóc aktualnie sprzedawać atak wroga, sygnalizować nowe trudności i ukazywać ich rozwiązania zwycięskie.

Ma więc rację Hłond, dopominając się ode mnie „małej formy”, tej która idzie wraz z życiem i jest jego doboszem. Za wytnięciem mi winy biję się w pierś. Za siebie i za wielu innych kolegów, przyrzekając odrobić stracone i chwycić rytm czasu. Iść wraz z życiem walki o nowe i tworzenie nowego.

Józef Pogon

KAZIMIERZ WOJCIECHOWSKI

Z DZIEJÓW CZYTELNICTWA WIEJSKIEGO

W murcie postępowym pod koniec wieku XIX i na początku XX pojawia się nowe hasło — książka popularna. Wypiera ona pojęcie książki ludowej, jako przygotowanej tylko dla ludu. Książka popularna służy nie klasie, ale określonej społeczności umysłowej, który się podnosi. Za takim pojmowaniem opowiada się L. Krzywicki, W. Weychertówna, H. Orsza (Radlińska). Książka ludowa przygotowywała do czytania literatury ogólnonarodowej. Po spełnieniu tego zadania staje się niepotrzebna.

A jak się przedstawiał odpowiedni ruch wydawniczy? Przeważały wydawnictwa prywatne. „Czytelnia Ludowa” Aleksandra Nowoleckiego drukowała w latach pięćdziesiątych w Warszawie, później w Krakowie broszury i książki religijne, elementarne, rzeczy pszczelarskie i rolnicze, umoralniające i historyczne o dziejach Polski. Z rzeczy pięknych dla ludu — poezje Lenartowicza w Warszawie w r. 1860. Obok tego wypuszcza broszurki Biblioteka Ludowa, a we Lwowie Biblioteka Mrówki od r. 1869. Promyk rzeczy własne i cudze sprzedaje w swojej Księgarni Krajowej. Również na prowincji powstają coraz liczniejsze księgarnie mieniące się ludowymi z najruchliwszym a zarazem najbardziej postępowym wydawnictwem Breslauera na czele. Ten bit dziesiątki wydań broszur ludowych, opartych na starych tekstach i częściowo jeszcze pochodzących z średnio-wiecznego, jak żywot św. Genowefy, Historia o Magiellonie i Róży z Tannenbergu. Zjawili się również dobroczyńcy, jak Karol Forster, który wydawał w Berlinie rzeczy polskie w latach 1868—1870 dla ludu w Bibliotece „pt. „Klasom pracującym polskim”. Były to broszurki liberalno-burżuazyjne o treści ekonomicznej, patriotycznej, moralnej, o potrzebie i technice oświaty — pełne dobrej woli i uniesień, lecz oderwane od gruntu ojczyznie przez długą nieobecność wydawcy. W kraju dzwiczę obecą przez nieznaną spraw polskich.

Z wydawnictw społecznych należy wymienić lwowską Macierz Szkolną. Wydawała ona od r. 1882 nędzne na ogół książki dla ludu. Wydawnictwo to korzystało z pomocy całej burżuazji. Tymczasem większość utworów

i tematów była nieciekawa, a rozwiązania nieprawdziwe, moralizatorskie, w duchu zachowawczym — przykre w naszym traktowaniu czytelnika-chłopa. Potwierdza się tu zasada, iż tylko z umiłowaniem ludu rodzą się dzieła wartościowe. Nawet „Prawda” Świętochowskiego występowała przeciwko tym — przeważnie miernotom i bzdurcom Macierzy.

Przyjrzyjmy się z kolei książkom dla ludu. Wzór dla nich powstał wcześniej. Mamy tu na uwadze „Piełgrzymka w Dobromilu” Izabelli Czartoryskiej i „Wieczory pod lipą” czyli



Wioślanie z Czarnolasu 1884 r.

historia narodu polskiego opowiadana przez Grzegorza z pod Raclawic” Lucjana Siemieńskiego. „Piełgrzymka” ukazał się w Warszawie w r. 1818. Do r. 1861 miał 13 wydań. Następnie wydała go konserwatywna Macierz w r. 1884 i 1889.

Czartoryska i Siemieński piszą nawiązanie dla ludu, jednakowo mają ton gawędziarski płynący z wyżyn ku poddanym, ton moralizatorsko-religijny. Chęć regulowania rzeczywistości społecznej, bardziej zresztą widoczna u Czartoryskiej, chęć wynikająca z naiwnej wiary w wartość moralizowania jest zmienną dla obu utworów i następnie całej pracy literatury dla ludu okresu pozytywizmu i początków imperializmu. Jeśli zaś chodzi o historię, to zaprzęga się ją do walki o okiełznanie klas niższych. Autorzy pragną urzec chłopca tężową przeszłością narodu szlacheckiego. Książki popularne przedstawiają dobroliwych królów, rycerską ofiarę

dla ojczyzny i ludu szlachtę, męczeńskie duchowieństwo, obronę ludu przed niewolą tatarską, turecką itp. Jednym słowem wg. wzoru Czartoryskiej i Siemieńskiego pisarze burżuazyjni lakierowali dla ludu historię. Moralizatorstwo, ton religijny i fałszowanie historii to częste cechy literatury dla ludu.

A jak się przedstawia beletrystyka? W okresie pozytywizmu przeważają powiastki, osobno dla ludu pisane, typu „O strasnym zboju” — Promyka. Pisuje takie Ancezy, Grajert itp. Literatura ta zalewa rynek ludowy, trafia na stragany. Dość już jednak wcześniej zjawiają się starania o wydawanie literatury klasycznej dla ludu. Wg Al. Nowoleckiego „Przewodnika dla kupujących i czytających książki” (Kraków 1872) pierwszy, jak się zdaje, zaczął wydawać literaturę uznaną dla ludu Władysław Mickiewicz w Paryżu w „Bibliotece ludowej polskiej” od r. 1866. W r. 1872 było tych tomów już kilkadziesiąt, a więc „Księgi narodu i piełgrzymstwa”; artykuły Piełgrzymy (Mickiewicz), Psalterz Kochanowskiego, Maria Malczewskiego, Wiesław i Mowa o narodowości Brodzińskiego, Treny, Satyr, Zamek Kaniowski itp. Tomiki te sprzedawano bardzo tanio (17 centów). Podobnie po niskich cenach (od 20 centów) sprzedawała swe wydawnictwa lwowska Biblioteka Mrówki od r. 1869. Znajdujemy w niej Pieśni Kochanowskiego, Bajki Krasickiego, wiersze Syrokomli itp. Rzeczy te były nabywane do bibliotek ludowych. Dodajmy przy tym, iż nowe czolowych pozytywistów były tematycznie i językowo jasne dla ludu. Spotykamy je w ówczesnych czytelnikach.

Powieść współczesna dochodzi do ludu masowo dopiero od r. 1886 i to w postaci skróconej, dostosowanej do możliwości czytelnika słabszego. W tym to czasie ukazuje się „Placówka” Prusa i „Historia o prapradziadku” Jeża skróconie przez F. Morzycką. Brzeziński informuje w „Głosie” z r. 1888, że te zmniejszone dzieła prosiły czytelnicy przyjmowali bardzo życzliwie. W tymże czasie wydano skrócone „Stara baśń” również dobrze przyjętą. Dodajmy, iż tajemnicą powodzenia tych powieści skróconych polegała również i na tym, że ceny były znacznie niższe od wydań pełnych.

Chmielewski twierdzi, iż pierwsza rzecz w skrócie wydana oraz ilustrowana to Mysze'da Krasickiego w roku 1861. Później skrócono i trochę przerobiono dla najslabszego czytelnika Krzyżaków Kraszewskiego. Krytyk zauważa, że piękno utworów zostało się w przeróbkach.

Z biegiem lat dzieł adoptowanych dla mniej przygotowanego czytelnika przybywa. Popularna jest Orzeszkowa W r. 1889 wychodzi jej „Czarownica” przerobiona z „Dziurdzów”, w roku następnym „Chłopski adwokat” przerobiony z „Nizin”. Orzeszkowej „W zimowy wieczór” przerobione przez F. Morzycką w r. 1895 miało kilka wydań.

Obok powieści i poezji spotykamy małe broszury o twórcach, a więc rzeczy popularne z historii literatury. Pierwszeństwo trzeba tu przyznać Promykowi - Proszyńskiemu. W roku 1877 wypuścił on właśnie pierwszą historyczną broszurkę dla ludu o Staszcu, której nakład rozszedł się błyskawicznie, tak że trzeba było go w tymże roku powtarzać. W kilka lat potem idą książeczki o lirykach.

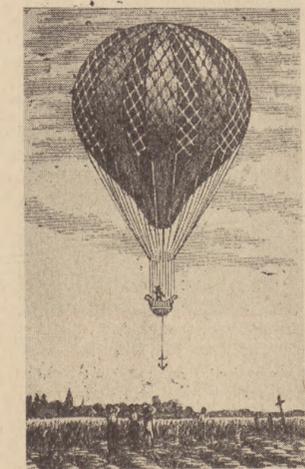


Z książki Jak zbierać mierzwę czyli na wóz i urządzać gnojnowy napisal Kazimierz Promyk 1883 r.

W r. 1880 Hip. Tarczyński wydaje nakładem Przeglądu Tygodniowego rzecz „O wielkim naszym pieśniarzu Fr. Karpińskim nap. dla ludu wiejskiego i miejskiego...” W roku 1884 ciągle czynny Promyk przedstawia ludowi broszurkę o Kochanowskim. Pisze się następnie o Brodzińskim, Polu, Lenartowiczu i Krasickim, o Słowackim zaś dopiero F. Morzycka w roku 1901.

Karpiński doczekał się i drugiej o sobie broszurki, lecz najwięcej informowano lud o Kraszewskim (4 broszury) i Mickiewicz (5 broszur) do

końca wieku). W okresie imperializmu ruch ten powoli razem z czytelnictwem rośnie. Niektóre broszury zyskiwały impinujący nakład. Prof. J.



1884 r.

Muszkowski informuje w „Życiu książki” str 331, że bardzo łatwa książeczka H. Orszy (Radlińskiej) pt. Kto to był A. Mickiewicz W wa 1897 str. 46 rozeszła się w 100.000 egz. Autorka była wówczas nieznaną. — W roku 1902 W. Weychertówna wydaje w Warszawie „Krótkie dzieje piśmiennictwa polskiego” str. 150. Jest to popularna literatura ze streśczeniami i wyjątkami, łatwa i zajmująca ułożona z pozycji postępowego mieszczaństwa.

Przejrzyjmy następne rzeczy oświatowe. Wspominaliśmy na początku o Piełgrzymie w Dobromilu i Wieczorach pod lipą. Nie są to jedyne gawędy historyczne. Ten rodzaj cieszy się rosnącym powodzeniem i jest potrzebny polityce wychowawczej burżuazji. Z rzeczy ogólnych trzeba wymienić Ancezya „Dzieje Polski w 24 obrazach skreśd dla użytku braci wioślan przez K. Góralewiczyka” W-wa 1863 oraz J. Chociszewskiego „Dzieje narodu polskiego” dla ludu i młodzieży” Poznań 1869 i szereg wydań następnych. Obok zaś opracowań ogólnych ukazywały się życio-

rysy historyczne, np. o Kościuszcza itp. Mimo poczynione zastrzeżenia ideologiczne sam fakt podawania historii ludowej należy uważać w okresie pozytywizmu za postępowy. Wstępnicy bowiem, jak się przekonamy z dalszych wywodów, pragnęli ograniczać oświatę ludową do czytania, pisanie i niezbędnych wiadomości o otoczeniu. Historię więc pomijali.

Znacznie słabiej przedstawia się geografia. Z tej dziedziny broszur popularnych w okresie pozytywizmu prawie nie ma. I tu przoduje Promyk ze swym „Stopniowym opisaniem świata” (1884). Niedostatek zaś wiązał się z rzeczywistością społeczną. Lud żył w kulturze lokalnej, siedział na miejscu, nie ogarniał jeszcze kraju ni świata.

Co do książek praktycznych, to widzimy żywy ruch w Królestwie zaczynając od okresu pozytywizmu. W r. 1862 rozpoczęła wydawnictwo Biblioteka Rzemieślnika Polskiego i wyspuścza przewodniki dla cieśli, garbarzy, kowali i giserów, stolarzy itd. Najobszerniejszą zaś w tych czasach jest literatura religijna i moralna dla ludu. W „Bibliografii wydawnictw ludowych staraniem lwowskiego Koła artystyczno-literackiego wydana” (z racji wystawy krajowej) w r. 1894. Rzeczy religijne stanowią 25 proc. całości, gdy w tymże zbiorze pozycje popularno-naukowe dają 12 proc.

Ton moralizatorski jest w ogóle znanymy dla tego piśmiennictwa. W okresie pozytywizmu i później spotykamy się barzo często z takimi np. tytułami: ks F. Gorzałka źródłem wszelkich zbrodni wobec Boga i ludzi, Kr. 1870, lub Józefała dolna czyli sąd ostateczny. Kr. 1871. Przewidywania o skuteczności tych kazania moralnych a nagłeni przez rozwój życia społecznego szukają pisarzy burżuazyjni najlepszych form dla swoich tekstów, z czego nieraz wynikały humoreski. Tak np. W. L. Ancezy, niestrudzony autor elementarzy, powiastek i opowiadań o ziemi i święcie, które się rozchodziły w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, wydał „Najnowszy i najprawdziwszy wykład snów czyli sennik oraz najmniomylniejszy sposób wygrania na każdej loterii” Kraków 1865.

Kazimierz Wojciechowski

STANISŁAW SIEKIERSKI

KALENDARZ CZY KONCEPCJA?

(O współpracy pisarzy z pismami codziennymi)

CHCIAŁBYM w niniejszym felietonie zwrócić uwagę na pewne, zasadnicze, moim zdaniem, elementy współpracy literata z piśmem codziennym. Zagadnienie wprawdzie nie nowe, pisało się o tym niejednokrotnie, ale też jeszcze nie rozwiązane. Ponad głosami w tej sprawie, drukowanymi na łamach „Nowej Kultury” i „Wsi”, przebiega wciąż jeszcze niepokojąca praktyka. Dodatki społeczno-literackie, czy kulturalne naszych codziennych pism zadania swego nadal nie wypełniają, a i pisarzy - zwyczajowo niewielu na ich łamach widuć. Tymczasem bieżąca sytuacja gospodarcza, polityczna i kulturalna kraju, wcale nie łatwa walka o wykonanie Planu w przetłomaczonym - trzecim roku, trudności na rynku handlowym, wynikające z nierównomiernego rozwoju socjalistycznego przemysłu i indywidualnie gospodarzących wsi, wzmocniła potrzebę wykorzystującego zresztą nasze trudności - stawiają przed pisarzami odpowiednie zadanie oddziaływania na masę pracującego narodu. I to, rzecz prosta, na łamach pism masowych, w macych formach literackich.

Gdzie tkwią przyczyny zła na odciśnięciu kontaktu pisarza z masami poprzez wielonakładowe pisma centralne i wojewódzkie?

Jednym z zasadniczych i rzeczowych elementów, układających stosunki pomiędzy pisarzem a redakcją jest koncepcja pisma. Mieści się w niej świadomość zakresu pisma, odbiorcy a także i gatunków literackich, przy pomocy których najlepiej oddziaływać na określonego czytelnika. Koncepcja pisma określa zadania dla literata - współpracownika. Wrogim koncepcji jest liberalizm, polegający na tym między innymi, że pisarze przynoszą do redakcji, co im się akurat napisało, a redaktor to drukuje, bo literacko dobre.

I tu leży pogrzebany pies. Redaktorzy, czy zespoły redakcyjne dodatków tygodniowych są na ogół nieprzejrzanymi wrogami zwartej koncepcji, odpowiadającej potrzebom bieżącego etapu. Oczywiście, można tu i trzeba mówić o koncepcjach, na jakie się dotąd zdobyli. Będzie ich z grubszą biorąc - trzy.

Pierwsza daje się łatwo określić

słozami poety: „Żyjemy sobie jak Bóg zdarzy, zrywamy kartki z kalendarzy”. Redaktor, pełen zadowolenia z przyjętej zasady, zachwycony niezwykle proszą a zarazem „wydajną” organizacją pracy, siedzi zadowolony spokojnie za biurkiem, przerzuca kalendarz i notuje daty urodzin, względnie zgonów wielkich ludzi. Drugi etap pracy, to przydzielanie tematów odpowiednim specom. By się nie trudzić, ma do dyspozycji telefon - „kolego, napiszcie coś o dzieciach koreańskich - co i jak? - już wy to potrafiacie”.

Następna to po prostu liberalizm najczystszej wody. Polega on na tym, że redaktor wybiera jakiś dzień w tygodniu, w którym - ku zazdrości redakcji - zamierza się na kilka godzin w swoim gabinecie w towarzystwie najbliższych literatów miasta i okolicy. W czasie przyjacielskiej pogawędki przyjmują złożone mu utwory i z miejsca podpisuje je do druku. Wychodzi następnie dodatek o niesłychanie bogatym wachlarzu zagadnień od nieznanego epizodu w życiu Klaczki do gruntownego studium o realizmie socjalistycznym. W koszu natomiast spoczywają spokojnie prace „nieznanych bliźni” młodych pisarzy

Na jednym z ostatnich posiedzeń, Kola Młodych w Łodzi pojawili się przedstawiciele warszawskiego tygodnika „Wies” i miejscowej rozgłośni radiowej. Brakło niestety kogoś z piśm codziennych. Walka o realizację Planu 6-letniego w wielkim jubrecznym mieście wchodzi w stadium szczytowe. Toczy się dramatyczny niekiedy bój o podniesienie wydajności w przedsiębiorstwach, które - jak dotąd - bardzo często hamują pracę działów dalszej obróbki. Oto wzywają zagadnienie terenu łódzkiego Młodzi pisarze usłyszeli je z ust przedstawiciela Radia, instytucji, która ma ambicję włączyć do siebie pisarzy przez wskazywanie im bieżących, palących i ważnych zagadnień. Przedstawiciel „Wsi” omówił nowy etap w rozwoju spółdzielni produkcyjnych, okres przygotowań do rozpoczęcia prac wiosennych. Przedstawiciel wojska wskazywał na szereg interesujących literacko problemów z życia naszego ludowego żołnierza.

Nierazki wariant tej koncepcji polega na czolobitości wobec pewnej grupy pisarzy, drukujących w prasie literackiej. Nasz redaktor jest w siódmych niebie, kiedy może takiej sławie wydrukować wiersz, czy artykuł. Rezultat jest taki, że niewielka grupa tych samych wciąż pisarzy usiłuje z dodatku uczynić miniaturkę centralnego pisma literackiego.

W obu wypadkach mamy do czynienia z jaskrawym zaprzeczeniem koncepcji współczesnego dodatku kulturalnego masowego pisma.

Tu między innymi należy szukać przyczyn smutnego faktu, że pismo codzienne w niewielkim tylko zakresie jest u nas warsztatem pracy początkującego a zdolnego pisarza, przyszłego literata. Na palcach dało by się policzyć tych spośród młod-

szych literatów, którzy przy codziennym piśmie zdobyli ostrogę pisarską. Np. redakcje łódzkie odrzucały artykuł o tamtejszym Kole Młodych przy Oddziale Literatów, tłumacząc, że Kolo nic nie robi. Konsekwentnie drukują niewiele prac młodych, chociaż wydrukowane ukazują duże możliwości młodych.

Powróćmy jednak do zagadnienia podstawowego. Dodatek kulturalno-literacki bez koncepcji, polegającej na uchwyceniu w granicach obsługiwane go terenu, bieżącej, aktualnej problematyki nie może w poważny sposób wiązać ze sobą pisarzy, gdyż nie jest w stosunku do nich dyrektywą. Trudności we wzajemnej współpracy nie leżą tylko w tym, że redaktor nie zna środowiska pisarzy - jak uważa Jerzy Putrament - ale dlatego, że nie umie we właściwy sposób zobowiązać literata do tego, by realizował rzucone przez partię hasło: pisarz agitator! Nieznajomość zatem lepsza czy gorsza pisarzy, ich naturalnych skłonności, choć - rzecz prosta - nie jest to bagatel, ale przede wszystkim - program politycznych zadań pisma rozstrzyga o współpracy z literatami.

Na jednym z ostatnich posiedzeń, Kola Młodych w Łodzi pojawili się przedstawiciele warszawskiego tygodnika „Wies” i miejscowej rozgłośni radiowej. Brakło niestety kogoś z piśm codziennych. Walka o realizację Planu 6-letniego w wielkim jubrecznym mieście wchodzi w stadium szczytowe. Toczy się dramatyczny niekiedy bój o podniesienie wydajności w przedsiębiorstwach, które - jak dotąd - bardzo często hamują pracę działów dalszej obróbki. Oto wzywają zagadnienie terenu łódzkiego Młodzi pisarze usłyszeli je z ust przedstawiciela Radia, instytucji, która ma ambicję włączyć do siebie pisarzy przez wskazywanie im bieżących, palących i ważnych zagadnień. Przedstawiciel „Wsi” omówił nowy etap w rozwoju spółdzielni produkcyjnych, okres przygotowań do rozpoczęcia prac wiosennych. Przedstawiciel wojska wskazywał na szereg interesujących literacko problemów z życia naszego ludowego żołnierza.

W tej atmosferze padły zobowiązania. Młodzi, a i starsi obecni na zebraniu zgłaszali się do przeprowadzenia wysuniętych tematów.

Jest chyba jasne, że przeszedł już okres, kiedy pisarzy zachęcało się do współpracy z prasą codzienną, zwłaszcza zaś partyjną. W większości pisarze tę współpracę podjęli, lub przynajmniej są gotowi ją podjąć. Jesteśmy w fazie, kiedy to niewątpliwie ożywienie się pisarzy należy organizować.

„Echo Tygodnia” (Kraków) prowadzi dodatek niedzielny na wysokim poziomie. Pisują tam znani satyrycy - Kern, Zalucki, Szpalski, Zechenter, a więc pisarze, drukujący w centralnej prasie literackiej. Ale poprawny formalnie, zręczny w ujęciu materiał satyryczny traci o połowę z racji swej ogólności i ogólnikowości. Celność krytyki byłaby znacznie większa, gdyby satyrycy mieli do dyspozycji swoje krakowskie fakty z terenu. Mechaniczne odzworowanie pism centralnych, nawet przy wysokim artystycznym poziomie osiąga zaledwie połowę zamierzonego dzieła. Pismo obcuje okrojony rejon, ma swoje, imienne problemy i one to właśnie stać się powinny przedmiotem opisu ocen i rad.

Pod tym względem pozytywny przykład stanowić może częściowo łódzki „Głos Robotniczy”. Objętość reportaży terenowych, pisanych zresztą nie tylko przez literatów, literackie impresje z posiedzeń W.R.N. czy ZMP, próby felietonu literackiego, omawiającego życie i twórczość artystyczną robotniczego miasta zaktywizowanie stosunkowo licznej grupy literatów wokół pisma, wskazują, że pismo wchodzi w drugi, wyższy etap wiązania ze sobą pisarzy. Już nie tylko zachęca, ale organizuje ich twórczość, zgodnie z potrzebami partyjnego pisma.

Przykład ten nie jest jednak w pełni dobry, gdyż i „Głos Robotniczy” ulega niekiedy manierze wygodnej roznocianii, zwęża problematykę dodatku tygodniowego do spraw literackich, miast użyć gatunków literackich do przedstawienia życia społeczno-kulturalnego województwa.

I co gorsze - jakby nie było - jest to prawie jedyny pozytywny przykład. Stanisław Siekierski

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

GLEB USPIENSKI

ZWRACAM się do pana, jako do człowieka, o którym słyszałem wiele dobrego i który, jestem tego pewien, nie odmówi mi pomocy”. Tak kończył się list jednego z barzo licznych czytelników i miłośników Gleba Uspienskiego, znakomitego pisarza - demokraty drugiej połowy XIX wieku. Apel skierowany do Uspienskiego wyszedł w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia spod pióra nieznanego jeszcze nikomu paładnika rzemieślniczego, a później wielkiego twórcy - Maksyma Gorkiego. Był więc Uspienski pisarzem, który w walce z caratem torował drogę nowym ideom, nowym ludziom i nowym talentom. Wraz z Czernyszewskim, Niekrasowem i Saltykowem - Szczedrynem należał do grupy najwybitniejszych pisarzy rosyjskich drugiej połowy XIX wieku, walczących o wyzwolenie ludu i wnoszących cenny wkład artystyczny do skarbicy klasycznej literatury rosyjskiej z okresu realizmu krytycznego.

Gleb Uspienski przyszedł na świat w październiku 1843 roku, w Świecie, w rodzinie urzędniczej. Kiedy w r. 1861 wstąpił na uniwersytet w Petersburgu, przez Rosję loczyła się właśnie fala rewolucyjnego wżenia. Przywódcy rewolucyjnej demokracji, znakomici krytycy Czernyszewski i Dobrolubow nawołując w artykułach do walki z caratem. W kręgu takich wpływów kształtuje się młodzieńcza twórczość Uspienskiego.

Uspienski z powodzeniem stosuje małą formę prozatorską: szkic, opowiadanie. Mistrz przenikliwej obserwacji - w pierwszych opowiadaniach ukazuje życie biedoty miejskiej, drobnych urzędników. Sympatie autora znajdują się op stronie pokrzywdzonych i eksploatowanych. W końcu lat 60-tych Uspienski kreśli szereg szkiców, jak „Obyczajne ulicy Razierajewej” oraz „Zniszczenie”. W „Obyczajach” rysuje życie rzemieślniczego ludu, ukazuje niszczycielskie działanie kapitalizmu. „Zniszczenie” daje obraz wsi po zniesieniu pańszczyzny w r. 1861, obnaża ruinę chłopstwa spowodowaną reformą, która została przeprowadzona na korzyść klas posiadających, przedstawia początki procesu powstawania kulaictwa. Przekazując wierny dokument swego czasu, Uspienski staje po stronie ludu, którego reforma 61 r. bynajmniej, nie wyzwoliła spod jarzma obszarńników. „Zniszczenie” ukazuje proces dewastacji wsi, rozwój kulaictwa i formowanie się wiejskiego proletariatu, który odpływa do miast, do fabryk w poszukiwaniu pracy. Lecz pokazując niedolę ludu, Uspienski zdobywa się zarazem na postawę walki. Stworzona przez niego postać robotnika Michala Iwanowicza, prowadzącego zalogę fabryki do buntu, to pierwszy w literaturze rosyjskiej obraz robotnika - działacza. Oczywiście, rewolucjonizm Uspienskiego był ograniczony przez warunki czasu. Znakomity pisarz działał początkowo w okresie braku jeszcze masowej rewolucyjnej partii robotniczej i dlatego nie rozumiał, że tylko zorganizowane działanie klasy robotniczej, rewolucja społeczna i dyktatura proletariatu mogą obalić niesprawiedliwy ustrój. Uspienski zajmuje pozycję realizmu krytycznego potrafi ukazać zło, nie zawsze umie znaleźć właściwe rewolucyjne wyjście.

W latach osiemdziesiątych ub. stulecia Uspienski pisze szereg szkiców jak „Z wiejskiego dziennika”, „Chłop i chłopka praca”, oraz powieść p. t.

„Połgga ziemi”. Ulega złudzeniu narodników, że „obszczyna” (wspólnota gminna) stanowiąc może punkt wyjścia dla powstania socjalizmu w Rosji. Błędy narodników charakteryzuje wyrażenie „Historia WKP(b)”; „Narodnicy rosyjscy błędnie sądzili, że główną siłą rewolucyjną jest nie klasa robotnicza, lecz chłopstwo, że władzę cara i obszarńników można obalić przy pomocy samych tylko „buntów” chłopskich. Narodnicy nie znali klasy robotniczej i nie rozumeli, że bez sojuszu z klasą robotniczą i bez jej kierownictwa sami chłopci nie zdolają pokonać caratu i obszarńników. Narodnicy nie rozumeli, że klasa robotnicza jest najbardziej rewolucyjną i najbardziej przodującą klasą społeczną” (przekład polski, str. 15). „Historia WKP(b)” oświadcza jasno złudzenia narodników co do charakteru „obszczyny” (wspólnoty gminnej). Nie mógł to być początek stosunków socjalistycznych, ponieważ „we wspólnotie gminnej panowała kulać, „pijawi wiejskie”, którzy wyszykiwali biedaków, parobków, biednej szczęść średniaków” (tamże, str. 19).

Ale podziwiając w teorii błędne stanowisko narodników, Gleb Uspienski w praktyce artystycznej przekreśliła te nierealne złudzenia. Zmysł znakomitego obserwatora każe mu prawdziwie i wiernie przedstawiać wiejską rzeczywistość. Uspienski - artysta obnaża rozkład starej patriarchalnej wsi, ukazuje rozwój kapitalizmu, rozwarstwienie wsi i narodziny z jednej strony kulaika, z drugiej zaś wiejskiego proletariatu.

Tym samym, proza Uspienskiego, będąc artystycznym, wiernie podparującym życie dokumentem, wydaje jednoznaczny wyrok na błędne poglądy narodników: stwierdza rozwój kapitalizmu na wsi rosyjskiej i uświadomiamy o tym jakże społeczeństwo rosyjskie.

Tę dodatkową rolę Uspienskiego - pisarza w walce ze szkodliwymi teoriami narodników i znaczenie Uspienskiego - artysty, torującego drogę światopoglądowi socjalizmu naukowego - podkreśla Lenin w pracy pt. „Co to są „przyjaciele ludu” i jak oni walczą z socjaldemokratami?”

Uspienski nie przewidywał stanowiska narodników całkowicie. Mimo to dzieła autora „Połgga ziemi” rewolucjonizowały zasadniczo ówczesne społeczeństwo; uczyły nienawidzić do caratu i kapitalizmu, wskazywały z miłością na lud, biedotę wiejską jako siłę twórczą, nienawidzącą ucisku. „Słusznie przeciwstawiając pasywnictwu klas rządzących miłość ludu do pracy - pisze krytyka radziecka - Uspienski niezupełnie jasno rozumiał, że tylko w warunkach zlikwidowania ustroju, opartego na eksploatacji, praca chłopca może stać się rzeczywistą, radosną i twórczą”. Te szlachetne, piękne dążenia Uspienskiego zrealizował dopiero Związek Radziecki, stwarzając ustrój wolny od ucisku człowieka przez człowieka.

Uspienski, mimo swych złudzeń i błędów, należy do szeregu wielkich bojowników, czolowych pisarzy demokratów drugiej połowy 19 wieku w Rosji, którzy walcząc z caratem i uciskiem kapitalizmu przygotowywali grunt pod wolne społeczeństwo socjalistyczne.

Zmarł 6 kwietnia 1902 r. 50-lecie zgonu znakomitego pisarza obchodzą uroczystości całe społeczeństwo radzieckie.

Grzegorz Timofiejew

HENRYK PIOTROWSKI

KRYSTYNA CICHOSZ OPOWIADA...

ŻEGNAJĄC rodzinną wioskę miałam tylko dwa złote w kieszeni. Łatane marynarki ojca i zawinęły w matczynej chustce bochen wiejskiego chleba. Miałam mi to wystarczyć na sto dwadzieścia kilometrów drogi, którą zamierzałam przebyć pieszo.

Zegnałam wioskę łargana dwoma uczuciami. Jedno - to wielki żal za rodzinną stronę, drugie - to nienawiść do ludzi, którzy wzgardziliby mną na pewno, gdybym ujawniła, że jestem w ciąży. Cięża była moją hańbą, a zarazem radością. Kochałam już to dziecko, które zaczynało żyć w moim łonie. Ach, gdyby żył Janek, nie potrzebowałabym ukrywać przed ludźmi mojego stanu. Byłabym dumna i szczęśliwa. Ale Janek, wyrabiając łód utonął w przerebie. A mój gospodarz? Nigdy nie odezwał się do mnie dobrym słowem, choć pracowałam sumiennie i uczciwie. Zaszczuta, poniżana i bila dotąd, a teraz... dziecko.

Ach, miasto! Jeden raz w życiu byłam w mieście. Miałam wtedy trzydzieści lat. Ojciec zabrał mnie ze sobą, gdy jechał w odwiedzinach do brata. Mój stryjek mieszkał w śródmieściu. Pracował jako woźny w bibliotece. Miał sumiastę wasy i nosił siwy uniform z błyszczącymi guzikami, który w połączeniu z wąsami nadawał jego postaci wyraz powagi i dostojności. Stryjek miał małe, czyste mieszkanie. Na oknie kwitły kwiaty w donczkach i stała klatka z żółtym kanarikiem.

Im bliżej było miasta, tym częściej wynosowałam z zawiniątkami skrawki papieru, na którym miałam zapisany adres faktorki. Faktorką nazywaną u nas kobietę, która nieoficjalnie prowadziła coś w rodzaju Biura Zatrudnienia dla służących. Zgłaszały się do niej dziewczęta ze wsi, kobiety z miast, praczki, sprzątaczk. Faktorka miała rozległe znajomości w bogatych domach. Kierowała tam służące, udzielając im potrzebnych referencji. Służąca skierowana do pracy zobowiązana była przez trzy miesiące płacić jej piętnaście procent swego miesięcznego zarobku. Do miasta przyszedłam późną nocą. Na ulicach było pusto i cicho. Postanowiłam przenoćować na dworcu. Gdyby mój stryjek mieszkał tu jeszcze, poszłabym wprost do niego. Ale on od chwili zwolnienia z posady woźnego, wyjechał gdzieś za chlebem i słuch po nim zaginął. W mieście byłam więc obca i samotna.

Rano odnalazłam mieszkanie faktorki.

Faktorka była osobą wysoką, szczupłą, o chudej ptasiej twarzy. Mnie miała złudzoną i jakby zagubioną. Za to oczy - bystre i świdrujące. Opowiadała mi wszystko o sobie, zataiwszy jednak to, że jestem w ciąży. Gdyby się o tym dowiedziała,

wszystko by przepadło. Faktorka wysłuchawszy mnie do końca pokiwiała odmiennie głową.

- Pracy na razie nie ma. Przyjdź za parę dni, może się co znajdzie. Gdy powiedziałam, że nie mam co jeść i gdzie spać - zastanowiła się, otworzyła szufladę komody i zaczęła długo grzebać w papierach. Po chwili podała mi kopertę, na której widniały dużymi literami wypisany adres i nazwisko mojej przyszłej pani.

- To jest doktorowa, bogata pani. Pamiętaj, musisz umieć się zachować, pracować uczciwie - i od chłopców daleko. Pani doktorowa nie lubi, gdy służące za chłopakami latają. No, mozesz już iść. A nie zapomnij o pieniądzach. Gdy otrzymasz pensję - w tym samym dniu przynieś co mi się należy.

Moja pani przyglądała mi się długo i z zainteresowaniem, pytała czy umiem pisać, czy chorowałam na zakazane choroby, czy chłodzę do kościola. Odpowiedzi moje zadawały jej ją. Kilka razy uśmiechnęła się do mnie i spojrzała przyjaźnie. Pokazała mi kuchnię, mały pokój na poddaszu, gdzie miałam odpał mieszkać. Na odchodnym zapytała jak mi na imię, gdy powiedziałam, że Krystyna, pani skrzywiła się.

- Krystyna? Nieladne imię. Będę cię nazywała Rozalia. Tak wołałam na wszystkie twoje poprzedniczki; tak będę wołała na ciebie.

Początkowo nie mogłam się przyzwyczaić do nowego imienia. Wydawało mi się, że straciłam godność i samodzielność. Praca moja była ciężka i poniżająca. Pani posyłała mnie do najgorszych robót, wyśmiewała się ze mnie i dyskutowała przy każdej sposobności. Moja pani zabraniała mi czytać książki mówiące, że człowiek, który dużo czyta, zaczyna szukać równych w „wyższych sferach”. Gdyby tak wszyscy się uczyli, kto by wtedy pracował? Tak mówiła moja pani, żona wniecznie zaprawowanego lekarza, kobieta, która jak stwierdziłam podczas mojej pracy, nigdy nie zaglądała do książek.

Z każdym tygodniem czułam coraz wyraźniej budzącą się do życia dziewczynę. Im bardziej dawała znać o sobie, tym większa ogarniała mnie rozpacz. Wiedziałam bowiem, że pani dowiedziawszy się o mojej ciąży natychmiast zwolni mnie z pracy. A wtedy, gdzie się udam, kto mi pomoże, gdzie urodzę dziećniętko?

Pewnego wieczoru pani zapukała do mnie na poddasze. Może już czegoś się domyślała? Rozbierałam się właśnie, kiedy weszła. Nie miałam już co ukrywać. Powiedziałam wszystko i ze łzami w oczach błagałam, aby mnie nie wyrzucała na bruk w takim stanie. Na moje błaganie pani odpowiedziała zimno i oschle.

- Trudno, moja kochana Rozalio, nie mam zamiaru czynić ze swego

domu jakiegoś złobka czy przytulku. Postaraj się znaleźć inne zajęcie... Właściwie, powinnaś była, jako uczciwa, dziewczyna powiedzieć mi od razu, że jesteś w ciąży. Mój Boże, wiecznie mam jakieś kłopoty z tą służbą. Rozalio, czy zrozumiałaś co ci powiedziałam? - nie nie odpowiedziałam. Siedziałam skulona w kącie i płakałam, byłam przekonana, że w tej chwili cały świat odwrócił się ode mnie.

Nazajutrz wstałam wcześniej niż zwykle i natychmiast zabrałam się do zwykłych zajęć domowych. Tym razem nie ścisnęłam się pasem. Pani i tak wiedziała już wszystko.

Wieczorem wzięłam zapłatę i opuściłam dom. Z początku nie wiedziałam, w którą stronę się udać. Kilka godzin błąkałam się bez celu po mieście. Na ulicach zapadał zmierzch. W powietrzu czuć było pierwszy chłód jesieni. Szłam na dworzec, przypominając po drodze tamtą ciepłą noc, kiedy to przyjechałam do miasta. Jakże inne miałam wtedy marzenia i nadzieje! Teraz wtercałam do swojej wsi.

Mój dawny gospodarz nie przyjął mnie z powrotem do pracy. Zdążył już wynająć z innej wsi zdrową, zdolną do każdej pracy dziewczynę. Chodziłam od chaty do chaty szukając schronienia. Ludzie, jak to ludzie. Jedni kiwali smutnie głowami, inni uśmiechali się drwiąco. Przyjął mnie wreszcie stary pszczerzak, którego uważano za odludka i dziwaka. Urodziłam dziecko w szopie na słomie. Akuszerką była stara babułka. Urodziłam chłopczyka. Wiele lat upłynęło od tej nocy: Ciężko było zarobić na utrzymanie dziecka, a jeszcze ciężiej zapewnić mu jakieś takie dzieciństwo.

✱

A teraz zrobię wam niespodziankę. Mój syn, za rok, otrzyma dyplom lekarza. Chłopak jest zdolny, uczy się dobrze. Więc mówię wam, syn mój będzie lekarzem. A wszystko to stało się dzięki władzy ludowej, dzięki nowym czasom. Ktoż by kiedyś przypuszczał, że syn, którego urodziłam w bołecinach, w szopie i obcych ludzi, syn służącej - będzie lekarzem? Otóż i moja niespodzianka. Pytaacie czy rozumiem projekt nowej Konstytucji? Ja go nie tylko rozumiem, ja go czuję, przeżywam całym sercem. Przecież to zło i niedzę, którą cierpięłam ja i tysiące kobiet w Polsce sanacyjnej przekrośliła władza ludowa, a nowa Konstytucja utrwaliła to przekreślenie. Nie ma i nie będzie w naszej ojczyźnie takiego wyzysku, w jakim żyłam. Nie ma i nie będzie bezrobocia i nędzy. Kobiety będą rodzic w radości, szczęśliwe dzieci. W jasnych izbach porośniętych mój syn będzie czuł nad ich zdrowiem. Nie ma i nie będzie w naszej ojczyźnie

ludzi nieszczęśliwych i smutnych, wzgardzonych i znienawidzonych. Nie będzie ludzi samotnych, zdanych na poniewierkę wśród obcych. Ludzie nauczą się kochać jedni drugich, nauczą się pomagać sobie w pracy i poieszczą w smutkach. Historia mojej młodości nie powtórzy się nigdy. To wszystko gwarantuje nam nasza własna, sprawiedliwa Konstytucja, na którą czekałmy od wielu lat, za której urzeczywistnienie zginęło wielu śmiałych, odważnych ludzi - pełnych życia i młodości...

✱

Takie słowa usłyszał od prostej kobiety agitator Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, gdy odwiedzał wielu ludzi, w celu zapoznania ich z projektem nowej Konstytucji.

Henryk Piotrowski

Czcza gadanina o akcji wiosennej w Żmigródku

(Dokończenie ze str. 1-iej)

„W ubiegłym roku akcja siewna przeszła nam pod hasłem „Siewu Pokoju”, zasialiśmy zboże w 5-ciu dniach. W tym roku mamy na pamięci Prezydenta Bieruta - też pięć dni, ale żeby również udzielić w okolicznych wsiach pomocy wodom i matorolnym, jak najwięcej i jak najlepiej”. Taką jest prawda o spółdzielniach produkcyjnych, jeśli nie paczy jej opieszła i beztroška polityka gospodarza terenu.

Na Komisję Rolną spadła „kontrola terenu” oraz Osrodka Maszynowego. Pierwsze zadanie - jak pisze sekretarz - „zostało wykonane należycie w terminie do dnia 15 marca”. Należycie, bo 35 proc. nie osiagniętego planu kontraktacji złożono na karb „każdorazowo opieszalszych gromad”. Wiele zaś skarg i zażaleń, na skutek których „w dużo wypadkach obniżono wysokość planu rolnikom” wzięło wszak swój początek od Uchwały Prezydium GRN na styczniowej sesji. Uchwała ta obowiązywała Komisję Rolną, zadanie swoje wykonała zatem należycie.

Nie mniej lapidarnie przedstawiono nam Kontrolę Komisji Rolnej w Osrodku Maszynowym. 28 stycznia Komisja stwierdziła... i wezwała OM do pełnej gotowości na dzień 28 lutego. A ponowną kontrolę przeprowadziła 14 marca. Wtedy to „komisyjnie zostały rozdzielone siewniki zbożowe, których było 16 oraz nawozowych 3, na poszczególne gromady, biorąc pod uwagę stan gospodarstw w gromadzie oraz stan posiadania maszyn w gromadzie”. Koniec.

Urządник wypełnił rubrykę, gospodarz nie dopisał ani zdania. A trzeba być gospodarzem terenu. I nie daleko go szukać. W sąsiedztwie Zmigródki drugiej gminie Zmigród sekretarz GRN, ob. Krawczyk podał korespondentowi chłop-

skiemu wiele ważnych i konkretyzujących sytuacji szczegółów. Tu Komisja Rolna natarła na SOM. Okazało się bowiem, że zamówione tryby do maszyn siewnych nie nadeszły, wobec czego brigada somowska zabrała się do remontu zniwiniaw. A jeśli tryby nie nadejdą w porę? Wniosek był jeden: zrobić tryby we własnym zakresie. I kierownik Spadio zobowiązanie wypełnił. Ale stare grzechy nie pozostały bez wpływu. Wieść o braku trybów a potem o próbie wyprodukowania ich we własnym zakresie zahamowała zamówienia. Na początek marca nie przekroczyły one jeszcze 50 proc. planu umów, SOM zaś, rozporządzając 20 siewnikami, mógł objąć 1000 ha ziemi. A ma ponadto 4 siewniki nawozowe, 4 plugi traktorowe i kultywatory. Uderzono na alarm. Bo przecież maszyn oznaczać siew rzędowy, jeden g więcej z hektara! A nasz sekretarz ze Zmigródki rejestruje biurokraczką: 16 siewników, 3 nawozowe... rozdzielono, biorąc pod uwagę...

Poważnie się obawiamy, że nie wiele wzięto pod uwagę. Bo 16 siewników to 800 ha! Wieć chociażby w liczbach - na ile zawarto umów? Ile ha obejmą siewniki prywatne? Na jaką powierzchnie w gminie pódziśle siew rzędowy? Ścisłe, krótko? Niech będzie ściśle i krótko. Ale Kol. Sekretarz i tej metody nie uznaje.

I datę jego pierwsze liczy bez następnych, to też czcza gadanina.

✱

Z pomocy sąsiedzkiej korzystać będzie 17 rolników „a przewidziane wdowy, starcy, osoby ciężko posiadające siły pociągowej”. Z gminy Sanycyniow (pow. Pinczowski) donosi nam M. Kocel, że u nich z pomocy sąsiedzkiej skorzysta 61 rodzin. Bądź tu teraz mądry, która liczba lepiej świadczy o gminie.

Sprawozdanie sekretarza ze Zmi-

gródka pozostawia nas bez odpowiedzi na kilka natarczywych pytań. Plan pomocy sąsiedzkiej opracowany jest przez komisję gromadzką na zebraniach gromadzkich, a potem idzie do GRN i tam go się po analizie zatwierdza. A gdzie kontrola? A gdzie przedtem mocna propaganda? B. Pinda pisze do nas, że w jego gromadzie „pomoc sąsiedzka na papierze, bo potrzebujący jej nie znajdują pomocy. Boją się, że tak czy inaczej wypadło by im drogo za nią zapłacić świadczącym, bogatym a i nie bogatym”.

Czy sekretarz w Zmigródce wziął pod uwagę takie zagrożenie? Czy plan 17 osób nie zwęża sprawy pomocy sąsiedzkiej, w którym idzie nie tylko o pomoc niesioną osobom (i to szczególnie upośledzonym), ale wszystkim w gromadzie ornej. Idzie o powiązany w gromadzie siew, sprzęgnięty we wspólną wielką akcję, we wspólny bój wiosenny o powszechny urodzaj.

W 16-tym punkcie nasz sekretarz wspomina łaskawie o dużej ilości chłopów „produkcujących po gromadach, którzy zostali odznaczeni przez WRN... Wciążnieli ich do pracy z aktywnym gromadzkim”. I znów koniec wątku, jakże w sprawozdaniu spóźnionego. Nie pada ani jedno nazwisko, kiedy w gminie ludzie znają się przecież nawet z imienia. Bo też nie ludzkie to w rozmaitym znaczeniu sprawozdanie. Nie pisał je ani gospodarz terenu, ani działacz. Pisał biuralista. Nie słuchał ludzi, nie widział ludzi. Oddzielił ich od narzędzi, środków i sposobów. Oddzielił od nich siebie. Na boku zostały kadry. A przed nim szeregową armia do której... instrukcje! Przy takiej postawie sprawozdanie z przygotowań do bitwy wiosennej w gminie musiało zamienić się w czcza gadanie.

Uczmy się również na błędach.

Piotr Chimura

Gazetka gminna

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

PRZEMIANY

W osadzie Sawków nad rzeką Nidą, na środku rynku pasło się bydło. Ruiny sterczały po tamtej stronie, wśród nich błądziły goje spokojnie.

Floryjan święty na rynku czekał ostatniej drogi w trumnie człowieka. Aniś tu śladu nie zoczył ręki, co wznosi ściany w słońcu piosenki.

Taka to przeszłość. Dziś słońce nowe gromadzi blaski ponad Sawkowem. Tam, gdzie się dawniej było pasalo pieśń z okien tryska dźwięcznie i śmiało.

Pieśń w nowej szkole ma swe siedlisko, skąd do Wierzbicy i Breźna blisko. Zgarbił się Florian pod czas zębem i w cieniu brzozy ukrył się głębiej.

Po stopach wojen zniknęły ślady i mur ulicę nowy wygładził. Cóż, znów o pieśni trzeba powiedzieć, co jak po szczeblach krok wyżej wiedzie.

Głos zetempowski słychać gromady, co w hymn pokoju składa sylaby. Niebo lemieszów krzyżownicę gładzi, traktor je będzie w pole prowadził.

Tam, gdzie w opłotkach mlecz z miętą rosną, POM swe maszyny sprawnia dla wiosny. Z osady Sawków nad rzeką Nidą, na chłopskie pola maszyną wyjdą.

Skiba odłogów skryje ściernisko, konstytucyjny paragraf blisko. Nim się literą w księdze utrwali, wpisali się w zrebę z cegły i stali.

Podział kompetencji

Wyrastają nowe instytucje i organizacje na wsi, razem składające się na pełne ludowładztwo w terenie. Ale nie możemy zapominać o tym, że ludzie w tych organizacjach i instytucjach uczą się dopiero rządzić, stąd wśród wielu trudności występują wciąż jeszcze spory kompetencyjne i dawne pieniądzo chłopskie odżywa nieraz na dobre.

Zdawało mi się, że właśnie trafiać na takie fałszywe ambicje „władzy”, kiedy zacząłem czytać list pewnego prezesa GS-u. Bo też od czego zaczyna się list? Od oburzenia na prezydium GRN, od pogroźek oddania sprawy do sądu. Ho, ho, a to się biorą za czuby... i o co? Sekretarz GRN ma się podobno wyrażać o GS-ie że to „burdel i ściek wszelkich lajdaków”. Na to prezes GS-u — jak on rzuca takie obelgi na mnie, oddam do sądu, oddam, bo rzeczy mają się akurat odwrotnie.

Prezydium Rady porozumiewa się bezpośrednio z pracownikami GS, poza zarządem, bez niego. Zabiera mu pracowników na wielogodzinne konferencje a raczej na próżne czekanie w Radzie itd.

A zatem, GRN — władza, ale GS — też władza. I pod płaszczykiem obrony praworządności huczy wściekła kłótnia o biurokratyczne pozory znaczenia i powagi instytucji?

Nie jest tak źle, przynajmniej z jednej strony. Właśnie ze strony pre-

zesa GS-u. Jest nim 20-letni chłopak, który ma świadomość swego młodego wieku i prosi i oczekuje pomocy od wszystkich innych czynników w gminie. Ale chłopak zdolny i bojowy. Wybrał go jednogłośnie na prezesa walny zjazd delegatów w grudniu ub. roku. Wybrał w sytuacji szczególnie, kiedy poprzedni zarząd dostał się pod ocenę prokuratora. Chłopaka znała cała gmina, bo to terenowiec. Wyrósł w wędrownych działkach od wsi do wsi. A jaki zarzut może ten 20-letni prezes GS-u wysunąć przeciw sekretarzowi GRN? „Sekretarz od 5 lat nie był w terenie”. Akcja skupu spoczęła prawie wyłącznie na barach pracowników GS-ów. A teraz, kiedy rozwija się kontraktacja, kiedy GS winien być „całą dobę” w służbie chłopów, przybywających po nawozy, ziarno, węgiel, ospe, a równocześnie dla zdania tuczników — GRN zabiera magazyniera GS i innych pracowników na diabli wiedzą jakie rozmowy, konferencje, czy akcje. Jedno jest pewne, że chłopci czekają na próżno w GS i rozgoryczeni wracają z niczym.

„A wróg klasowy taką robotę gotów bardzo wykorzystywać... Mnie zaś wybrano w zaufaniu, więc, że wywalczę pomoc chłopom, i że przyczynię się do wzmocnienia produkcji przez sprawną i dostateczną obsługę, że pogłębię zaufanie chłopów do spółdzielczości w ogóle”. Edward Kuźka

Droga wielkiego pochodu?

Nie znać Michała Stolarczyka? Szkoda. Opowiedziałby Wam, jak to on się dołączył „do tego olbrzymiego Pochodu Planu 6-letniego”.

Zamiar powziął jeszcze w r. 1950. W Powiatowej Radzie znalazło się jego podanie o pożyczkę inwestycyjną. Odmówiono mu, ponieważ inwestycje służą tylko na budowę pierwszej potrzeby. A Stolarczyk? Ten podłaski postanowił wybudować pałac dla kilkudziesięciu świń i fermę kur. Nie śmiecie się. Ja mu wierzę. Stolarczyk „nie chciał zostać w tyle i beczynnym w wielkim Pochodzie Planu 6-letniego”. Wymarzył wielki budynek pokazowy, który by stał się wzorem dla okolicy w prowadzeniu hodowli trzody chlewnej i drobitu. Dlaczego mu wierzę? Bo chłop się zawzięł. Nie dali inwestycji, sam buduje. Wysilił się musiał na 7 ha ziemi V i VI kl. Składa podanie na przydział tony cementu. Dostaje, wykupuje, wyrabia z synem pustaki, zakładają fundament, betonują świnie i ścieki, budują zbiornik na gnojówkę, ściany, wyprawiają krokiew, drzwi i okna. Nabywa Stolarczyk dachówkę w Spółdzielni Gminnej w Siemiatyczach. Czego jeszcze brak — cementu na posadzkę w kurniku i desek na sufity. Zeszłoroczna susza przyhamowała budowę.

Stolarczyk już czuje, że „przez swą pracę należy do tego Wielkiego Pochodu Ludu Pracującego całego świata walczącego o Pokój”, ale dzieło nie zostało jeszcze uświęcone sufitem, choć pokryła je dachówka.

Stolarczyka ogarnia rozpacz. Świnie prawie gotowa do wychowu, ale drugie pół dzieła? Ferma drobitu? „Dwułtelnia, ciężka praca spełzną na niczym i stanie się bezowocna?”

Stolarczyk znów rusza do Powiatowej Rady Dobrych sił do przewodniczącego. Rozkłada plan, sam go robił, rozkłada fotografie i obliczenia. Przewodniczący obiecuje go odwiedzić i „o ile uzna rozpoczęła budowę za faktycznie pokazową, postara się o przydział brakującego materiału a Stolarczyka zaliczy w poczet wyróżniających się rolników”.

Od miesiąca już czeka Stolarczyk na lustrację przewodniczącego PRN-u. Czy wyobrażacie sobie rozmowę przewodniczącego ze Stolarczykiem w jego wsi Anusinie? Ja sobie wyobrażam. Przewodniczący rozejrzy się po wsi, stanie przed świątynią pałacem i powie:

— No toś Stolarczyk wybudował coś takiego, jak piekarnię, jak młyn, jak szkołę.

— No prawie tak, choć to tylko szkoła dla świń i drobitu.

— A jakby tak cztery razy ją powiększyć pomieściłaby hodowlę całej wsi?

— Już ci to z rezerwą.

— A ty powiadasz, że to pokazowa hodowla, dla kogo? Jeszcze dla trzech a razem we czterech mielibyście tak wielką prywatną fermę, że cała wieś kłęczalaby przed wami na kolanach.

Kiedy ja nie myślałem o własnym zysku, wzór chciałem dać.

— A cztery takie budowle razem nie byłby to jeszcze większy wzór?

— Byłby.

— A gdyby ten największy wzór cała wieś razem wybudowała, jako wspólną własność nie było by wszystkim najłże i najłepiej? Przecież taka jest droga „Wielkiego — jak to powiadasz — Pochodu Ludu Pracującego”. A ty co, dziś chcesz dać pokazowy pałac hodowli — ale prywatny, jutro może pokazową piekarnię — znów prywatną, po jutrze młyn pokazowy, też prywatny? Stolarczyk, zastanów się dokąd biegnie droga Wielkiego Pochodu... a dokąd twój?...

Henryk Kwapisz

Zawładamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od 10-go stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze więcej i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12 tel. 7-52-50 Adres redakcji: Warszawa, ul. Starokiełczyńska nr 7

Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch” Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12 tel. 804-20 do 25

Tel. Red. Nacz. 727-86 Tel. Redakcji 751-80 dod. wewnętrzny 91, 63

REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA

Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Płac 3 Krzyży 18, Chmielna 28.

Warunki prenumerat:

miesięcznie 3,- zł. kwartalnie 8,- zł. półrocznie 18,- zł. rocznie 36,- zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6842 21 z zaznaczeniem „za tvs. „Wieś”

RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-16982

HENRYK SYSKA

Widokówka z puszczy Kurpiowskiej

NIE znajdziesz już na Kurpiach — chyba resztki ich nie wielkie w rezerwach leśnych, nie przyjmą cię tam miodem, jak ongiś jeszcze przed siedemdziesięciu laty Czajewskiego Wiktor, bo i sama puszcza dochować się miodu nie może w dostatecznej ilości, ale przyjmą cię — jak dawniej — po polsku i gościnnie, posadzą na sosnowej ławie przed chałupą, postawią — tam, gdzie las nie wytrzeźwiony i w podszycie bogaty — garczek jałowcowego piwa, obsiądzie cię dookoła rodzina kurpiowska i opowiadać będzie ci nowym życiu, jakie dotarło już do



Foto J. K. Maciejewski

puszczy. Pisała przed kilkudziesięciu laty Maria Konopnicka:

W myszyńskiej puszczy
Tam Kurpiki siedzą
Co się dzieje w całym świecie
Nic o tym nie wiedzą.

Przeszły już te czasy, przeszły bezpowrotnie, w których poetka pokrzywdzonych odwarzała w swoim pięknym wierszu faktyczny stan wśród borów kurpiowskich. Związują się na wysięgi pracownicy pocztowi w wagonie docepującym do pociągu odchodzącego kilka razy dziennie z Warszawy w kierunku Łomży i Ostrołki. Zjeżdżają przed ekspedycję przepelnione wozy z etykietkami „Ruch”, przechodzą z rąk do rąk paczki z „Gromadą”, „Chłopską Droga”, „Zielonym Sztafetem”. Idzie do wysięki „Trybuna Ludu”, „Życie Warszawy”, „Głos Pracy”, „Rolnik Polski”. A tam — z Ostrołki i Łomży poczciwa „ciuchcia” mknie w zwolnionym już tempie wzdłuż wyrównanej drogi teraz po kilkudziesięcioletnim zaniedbaniu szosy, zrzuca zaadresowane przesyłki do dalszych urzędów i agencji pocztowych, skąd za pośrednictwem wiejskich listonoszy wędruje dziesiątki numerów do najbardziej zapadłych wiosek i oderwanych od wsi chałup.

Marzył o uprzemysłowieniu Kurpiowszczyzny przed siedemdziesięciu laty Wiktor Czajewski, marzenia te urzeczywistnia Polska Ludowa. Ale realizacja tych myśli idzie o wiele dalej niż marzył etnograf z końca XIX wieku. Myślał on przecież tylko o uruchomieniu w puszczy drobnego przemysłu, raczej chałupniczego, uprawianego na drobnych warsztatach, rozproszonych po wioskach i chałupach. Węc — zgodnie z wytycznymi Planu Sześcioletniego nie tylko na dawnej puszczy, ale na całym północnym Mazowszu dymić będą fabryki, z których produkcji skorzysta

WOJCIECH DRYGAS

Straszny sen

KIEROWNIK Kocurek biegł zdenerwowany po kancelarii. Kancelaria spółdzielczego ośrodka maszynowego była ciemną dziurą, w długim baraku, oddzielną od pomieszczenia na maszyny i narzędzia rolnicze przepierzeniem z niebełobowych desek. Był w tej kancelarii stół, dwa kulawe krzesła, olbrzymia szafa z obłutymi głowami nagich amorków, barika do najty, żelazny piecyk z zardzewiałą rurą i siennik.

Za plecami kierownika SOM-u dęptał w filcowych pantoflach mechanik Grzelarczyk. W myśl wyrażonych instrukcji Kocurka, który był specem od organizacji, czynności służbowe mechanika polegały na układaniu listy użytkowników z Dębiny, prowadzeniu rachunków wydatków i wpływów, zatwierdzaniu korespondencji bieżącej z gminą i powiatem, sporządzaniu sprawozdań dekadowych, miesięcznych i kwartalnych dla PZGS-u, a gdy czas na to pozwalał — na majstrowaniu od czasu do czasu przy siennikach. Grzelarczyk przesadywał w ośrodku przez cały boży dzień, w nocy spał w tej samej kancelarii na sienniku. Miał teraz minę spłoszonego kota.

— Może ja tę hecę panu kierownikowi powtórzę?

Kocurek kiwnął przyswajalogo głową i zwałił się na jedno z kulawych krzesłek. Mechanik przykucał na sienniku.

— Węc to było tak... — opowiadał gestykulując rękoma. — Na trybunę wychodzi ta sama, co to jej brakuje z przodu tych pięciu zębów. Była niby za przewodniczącą narady, a septenta tak strasznie, że przykro było jej słuchać. Obywatele — powiada — tak być nie może — powiada — żeby akurat teraz, kiedy śniegi stały, słonko ogrzewa ziemię i czas najwyższy wyruszać w pole z maszynami, ten niepoń Grzelarczyk siedział w kancelarii i dłubał w okólnikach, a kierownik Kocurek latał jak postrzelony po całej gminie i wygłaszał kazania o swojej nie-

caly kraj. Będą szły z Łomży, Ostrołki, Ostrowi Mazowieckiej i Wyszkowa transporty wyrobów włókienniczych, tysiące cegieł na odbudowę stolicy, kregi papieru drukarskiego i celulozy. Dziś przemysł lutejszy zatrudnia zaledwie 2,3 proc. ludzi w stosunku do liczby zatrudnionych na obszarze województwa warszawskiego, pod koniec Planu liczba ta wzrosła do 11 proc. Sygnęła od dawna ziemia nadnarwiańska z wyborowych łąk i pastwisk, ciągnących się kilometrami w dolinach rzek, spływających z krańcy tysięcy jezior oraz w szerokim klinie Bugo - Narwi na Białej puszczy. Ale łąki te zaniedbane, długo pozostające pod wodą, w okresie jesiennych i wiosennych roztopów nie dają należytych pokosów na zakwaszonej glebie. Musi im przyjść z pomocą gospodarna ręka człowieka. Plan Sześcioletni przewiduje tu wielkie melioracje, połączone z regulacją i uszlachetnieniem rzek głównych, przeprowadzenie systemu odwadniającego, i sztucznym zasiewem najbardziej doborowych traw. Na lotnych piaskach nadnarwiańskich niewiele chleba wyrośnie, ale na dobrze zagospodarowanych łąkach może rozwijać się hodowla zwierząt domowych, zwłaszcza bydła rogatego i owiec. Ziemia nadnarwiańska stanowi wyborny teren do przekształcenia z gospodarki rolnej na gospodarkę wybitnie hodowlaną.

Bił rozpaczliwie na alarm Czajewski, i stawał beznadziejnie, nie wiadomo zresztą pod czym adresem skierowane pytanie: „Dlaczego ginie dawna Kurpiów cywilizacja i ich zręczność, zwinność i sprężystość”? Dziś, oddając hold ceniom troskliwego etnografa, możemy być pewni, że kultura rodzima ludu kurpiowskiego z Zielonej i Białej puszczy zostanie uratowana, a jej piękne motywy zdobnicze z zakresu budownictwa i strojów, jej piękne pieśni, w których tyle smętku i melancholii, choć czasem nie bez rubasznych wstawek znalazły już niejednokrotnie i znajdują jeszcze w



Foto J. K. Maciejewski

szerszym zakresie zastosowanie w pracach wzorcowych dla fabryk włókienniczych, dla wytwórni meblowych przy projektowaniu iza w wioskach spółdzielczych i na scenicznych występach amatorskich i zawodowych zespołów artystycznych. Nie w innym przecież celu organizowano w roku 1947 wystawę wycinanek kurpiowskich w Kadzidle. Nie w innym celu wydzielono w dwa lata później, podczas ogólnopolskiej wystawy Sztuki i Rękodzielnictwa Ludowego obszerny pawilon w Politechnice Warszaw-

skiej na eksponaty pochodzące z Zielonej i Białej puszczy. A kiedy tradycyjnym zwyczajem obchodzili nasza stolica wraz z całą Polską w roku 1949 dni oświaty, przypadające na początek maja a połączone jednocześnie z festiwalem pieśni i tańca ludowego, oklaskiwali gorąco publiczność przeszło trzydziestoosobowy zespół kurpiowski, popisujący się swymi regionalnymi tańcami. Huczala sala „Romy”, gdy na zakończenie konkursowych popisów pokazały się na scenie barwne grupy taneczek i tancerzy z Pelt i Zawad, powiatu ostrołęckiego. A kiedy przed paru laty w słoneczne dni czerwcowe otwarto w stylowych salach byłego pałacu biskupiego w Pułtusk wystawę ludowego przemysłu kurpiowskiego — tysiące ludzi z całej Polski podziwiali bogactwo eksponatów, wykonanych przez samorodnych artystów. Szczególny ścisł panował wokół gablotek, zawierających kunsztowne wyroby spółdzielni Przemysłu Ludowego w Pniewach, powiatu pułtuskiego. Widzieliśmy na tej wystawie starego Wiktor Deputęła ze wsi Surowa (gminy Czernic, powiatu ostrołęckiego) strzęgącego swoich burzliwymi, znalazionych na łące i własnym oszlifowanych sposobem. Był tam Konstanty Lenkiewicz z Długiego Kąta (gminy Duszlasy), a jego barwne obrazy przypominały życie wsi kurpiowskiej w Zielonej puszczy. Mieniły się na ścianach kolorowe kilimy wełniane i dywany, a jeden z nich Katarzyna Rudnickiej z Dąbrowy (gminy wyszkowskiej) odziedziczony po matce pamiętał ostatnio czterdzieć wiek ubiegłego stulecia.

Rozchodzi się głos pieśni kurpiowskiej nie tylko po kraju. Przysłuchiwało się jej tysiące młodych przedstawicieli blisko stu narodów na festiwalu w Budapeszcie. Zespół młodzieży z Plocka kilkakrotnie powtarzał jej w różnych miejscowościach na Węgrzech, a fragmenty z wesela kurpiowskiego z potoczystym oledrem, starą babą, powolnakiem i okraglaciem witane były owacyjnie przez bratni lud węgierski. Powstała część programu zajmują pieśni i tańce kurpiowskie, w występach państwowego zespołu „Mazowsze”. Komuż nie trafiła do serca pieśń kadziłaska „Jadą goście, jadą”, którą nie jest w stanie wyrzucić pieśń od Długosiodła „Świeć mi się przez okno twoje”, czy inne wrotki z bogatego repertuaru reprezentującego folklor ziemi nadnarwiańskiej?

Henryk Syska



Foto J. K. Maciejewski

— Węc co mam robić, u licha? Już trzecia noc z rzędu męczę mnie na tym sienniku takie sny. W nocy spać nie mogę, a w dzień ino myśleć i myśleć. Ale nie nie mogę wymyśleć. Bo niech mi pan kierownik odpowie: — jak my obłądzeni tych wszystkich chłopów z Dębiny, kiedy jedna trzecia naszych maszyn potrzebuje remontu? Jak?

— Części brak — przerwał mu Kocurek. — Bez części i nie ujdziemy...

— Iii... co też pan kierownik gada. A w Pszconowie, Bujanach i Nowej Wsi wszystkie maszyny wyremontowane na glanc. O części się postarali...

— Skąd?

— A ja wiem skąd? Podobno z Wielunia. Z Liceum Mechanicznego. Spreparujcie nam to i owo — powiedzieli do nauczycieli i chłopków — macie przenie odlewnię i kuźnię. Wasi owce, chłopy mało i średniorolne czekają na magazyny, pospieszcie się, trza obsiać w terminie. No i teraz części mają po dziurki od nosa. Tylko my jedni oglądamy się na powiat, na województwo, na nie wiem kogo. A przecież samo z nieba nie spadnie? Tju... z taką robotą — splunął z obrzydzeniem na ścieżkę, wydeptaną wielkimi stopami kierownika Kocurka.

Ten wybuchł!

— Tylko mi tu pod nogi nie plujcie bo was usadzę, psiakrę...

Grzelarczyk zmieszal się, poczerwieniał na twarzy. Zdził szybko do niego filcowe pantofle i zaczął wciągać buty. Kocurek obserwował go z ukosa.

— Dokąd - to? — zawołał nagle Kocurek, ale tamten, nie oglądając się za siebie, walił długimi krokami w stronę stajni GRN. Po drodze nakładł na ramiona płaszcz nieprzemakalny Cienły, wiosenny wiatr wzdymał go jak żagiel, to znów na gładym skrefem owiał wokół nóg.

— Zabobonnyś, cholerniku, w sny wierzysz, psiakrę!... gonil go głos kierownika Kocurka.

Grzelarczyk stronił się, ale tylko na jedną sekundę, bo zaraz wyrzucił jednym tchem:

Wojciech Drygas